CENA 30 GR.

NARÓD i PAŃSTWO
TYGODNIK

ROK I. WARSZAWA, 15 LUTY 1936 R. NR. 2.

Legendy i mit

Jeden z przedstawicieli młodszego pokolenia, które już weszło w życie, tworzy i działa *), rzucił słuszne i trafne uwagi, nierozumiane i niedostrzegane: „tylko na... mitach, wyrastających bezpośrednio z życia, a nie z legendy, można budować żywą przyszłość...". A tymczasem — „legenda u nas zawsze zwyciężała. Zwycięża i dziś. Kto chce dziś zwyciężyć i zwycięstwo swe utrwalić i umocnić w czasie, ten zaczyna otaczać się legendą. Rezygnuje z życia, staje się żywym upiorem, ale wtedy napewno zwycięża". A tymczasem — „Nie trudno w twarzy niejednego z wczorajszych bohaterów rozpoznać rysy dzisiejszego karjerowicza".

Oczywiście przyszłość buduje ten tylko, kto opanowany jest mitem, wyrosłym z życia, kto ma wizję przyszłości, a nie „w uwiędły laurów liść z uporem stroi głowę". Legendaryzm, tradycjonizm, jako podstawa stosunku do życia stwarza dwa zjawiska: kwietyzm lub zapobiegliwość indywidualną. Nie można jednak zgodzić się z twierdzeniem, że legenda u nas zawsze zwyciężała, że dzieje Polski tworzyły tylko „żywe upiory". Legendaryzm jest zasłoną i schronem tylko wówczas, kiedy mitu braknie, kiedy odwaga myśli i pracy jest w poniewierce, kiedy „wyścig pracy" — tak trafnie rzucony przez Twórcę Polski współczesnej — staje się frazesem.

*
* *

W okresie poprzedzającym wielką wojnę pokolenia walczące i przygotowujące się do życia ogarnięte były wielkiemi ideami twórczemi „stawania się Polski", wyzwolenia warstwy robotniczej, podnoszenia kultury polskiej i wszczepiania jej wgłąb mas ludowych, a w końcu zdobycia drogą wysiłków militarnych niepodległości. I ten mit niepodległości, związany z własną siłą militarną, okazał się najsilniejszy i najtrafniejszy.

W okresie wielkiej wojny, w czasie walk orjentacyjnych, wynikających z odmiennych przewidywań biegu wypadków wojennych, nie legendy rządziły, ale dążenia do wydobycia z chaosu stosunków, pierwiastków polskiej siły i zapewnienia jej przyszłości. Z tych różnych mitów, z prac z wiarą w nie związanych, wyrastały ogniska polskiej siły, które sprzęgły się w chwili, kiedy armje zaborcze, wyczerpane i pozbawione oparcia w centrach swoich państw, zmuszone były pośpiesznie opuszczać ziemie Polski. Ośrodkiem tej tworzącej się Polski stał się sztandar polski, zatknięty wśród armji walczących, dzięki intuicji Wodza, który buławę marszałkowską nosił już wówczas, gdy przed wojną maszerował przez wsie i miasteczka, na czele nielicznych zastępów młodzieży.

Mit przyszłości zginął wówczas, kiedyśmy stanęli na progu nowego, państwowego życia. I wówczas przyszło zwycięstwo legend, rozwinęło się otaczanie się legendą, szukanie w niej siły i tytułu do kształtowania stosunków na podstawie tradycyjnych zasług, przestarzałych doktryn. Przyszedł okres wzajemnych negacyj, szukania odpowiedzi na pytanie „kto", niezależnie od tego „co" ma czynić i do czego zmierza. Przyszedł okres chaosu i klęsk wewnętrznych, okres szamotań się i jałowych sporów. Od przepaści ratował nas w najgroźniejszych chwilach instynkt samozachowawczy i nieprzeparte potrzeby życia. Ale mitu brakło. Zastąpiła go, w ostatnich latach wiara w czujność, intuicję i pracę Samotnika, odciętego od wszystkich — i od tych, którzy stali zdala i od tych, którzy jego imieniem szafowali i za osłoną Niezłomnego Strażnika szukali schronienia.

Życie jednak nie stoi na miejscu — narzuca wciąż nowe zadania i wymaga nowych wysiłków i nowych wartości, stałego wyścigu pracy i myśli. Świadomość kierunku tych wysiłków towarzyszyć musi wszystkim — i tym, którzy kierują pracą, i tym, którym powierzono wykonywanie nawet najmniejszych, najskromniejszych zadań, i tym, którzy są przedmiotem prac i obserwatorami ich wyników. Najsilniejszym czynnikiem spoistości państwa, społeczności państwowej, cywilizacyjno-narodowej i gospodarczo-społecznej — jest świadomość warunków życia i zadań pracy, świadomość kierunku dążeń i zmagań.

Odczuwanie istotnych potrzeb współczesnego życia Polski napotyka na liczne przeszkody w naszej zbiorowej psychice. U jednych są to skutki przeżyć z okresu ich aktywności w odmiennych, przedwojennych warunkach życia politycznego i gospodarczego. Ci już odeszli, lub odchodzą. U drugich zdobywanie pozytywnego stosunku do współczesnych potrzeb państwowych, przeprowadzane z wysiłkiem i na wielu odcinkach życia z dodatniemi wynikami, jest utrudnione z powodu zbyt jednostronnych przeżyć w okresie walk o niepodległość, w warunkach życia z tym charakterem wysiłków związanych. U jeszcze innych — przeszkody tkwią w fragmentaryczności ich doświadczeń i zainteresowań, w braku dostatecznego intelektualnego i moralnego przygotowania. U innych głęboko zakorzenione doktryny i uprzedzenia nie pozwalają na proste i jasne spojrzenie na życie, a brak mitu, wyrastającego bezpośrednio z warunków współczesnych, nie pozwala na wyplenienie tradycyjnych pozostałości. Nad całością Polski panują dążenia ułamkowe i zmienne nastroje, demagogja i zawiść, fikcja i frazes, szukanie indywidualnych, wygodnych pozycyj, oraz zatrata zdolności do wysiłku publicznego i ryzyka osobistego.

*
* *

Sytuację Polski określono, jako „dysproporcje"*) — potrzeb i środków, zadań i przygotowania w zakresie gospodarczym i społecznym, w dziedzinie administracji publicznej i administracji społecznej, w zakresie warunków cywilizacyjnych i rozwoju kulturalnego. Wyrównywanie tych dołów i zamykanie tych „nożyc", budzenie energji, tkwiącej w naszych warunkach kulturalnych i psychicznych, tępienie martwoty i chaosu, usuwanie „pasji" niszczycielskiej i negatywnego stosunku do wykonywanych prac, budzenie świadomości zadań i tworzenie ogniw, spajających życie społeczne i indywidualne z potrzebami państwa — jest zadaniem naszego pokolenia i pokoleń nadchodzących.

Dla tych celów należy poruszać sumienia, „rozdrapywać rany, aby się nie zabliźniły błoną podłości", mobilizować do konstruktywnej pracy publicznej jednostki, przygotowane do niej, niezależnie od tego, czy i jakim doktrynom hołdowały, nieza-

*) Marjan Piechal: „Anioł i Jakób". Warszawa 1935. Wydawnictwo „Drogi".

*) Inż. E. Kwiatkowski: „Dysproporcje" Rzecz o Polsce przeszłej i obecnej. Nakładem T. S. L. 1932 r

leżnie od tego, czy stanowią wierzchnią skorupę, czy tkwią w głębi, czy rozpychają się w życiu, czy w poczuciu swojej, często przesadnej, skromności, indywidualnie lub w nielicznych gronach przeżywają biegnące procesy dziejowe, pełni niepokoju o przyszłość, o prawidłowość dokonywujących się przemian. Cele te są niemniej ważne, niż idea Niepodległości, która rozpłomieniała zastępy walczących. Do wytworzenia tych zadań potrzeba sprzężenia wszystkich elementów, zdolnych do wyścigu myśli i pracy konstruktywnej, do budowania żywej przyszłości w oparciu o niezłomne prawa i potrzeby życia.

S. K.

O właściwą reprezentację świata pracy

Jak doniosła prasa codzienna, Komitet Ekonomiczny Rady Ministrów powziął uchwałę o zwołaniu w końcu bm. „Wielkiej Narady Gospodarczej" z udziałem przedstawicieli samorządu gospodarczego, terytorjalnego, bankowości, oraz szeregu czynnych „działaczy" gospodarczych. Celem narad, w których wezmą udział Ministrowie resortów gospodarczych, ma być przedyskutowanie i wytyczenie praktycznych wskazań w szeregu doniosłych dla całości naszego życia gospodarczego zagadnień. Półoficjalne komunikaty informują, że chodzi tu przedewszystkiem o zagadnienia dotyczące rynku pieniężnego i kredytowego, obrotu towarowego, obciążeń publicznych, inwestycyj publicznych i prywatnych, t. zn. inicjatywy prywatnej oraz właściwego ustosunkowania się przedsiębiorczości państwa do gospodarki prywatnej. Ponadto mają być rozpatrzone przeszkody na drodze normalnego funkcjonowania życia gospodarczego i możliwości ich usunięcia. W wyniku narady mogą być powołane specjalne komisje, które obradować będą w poszczególnych Ministerstwach.

Jak można wywnioskować z szerokiego zakresu zagadnień, nad któremi „narada" ma obradować, Rząd przywiązuje dziś dość duże znaczenie do tej inicjatywy, która ma w swym wyniku dać nietylko wyrażenie opinji t. zw. sfer gospodarczych w najważniejszych aktualnych zagadnieniach finansowych i gospodarczych państwa, ale co najważniejsze, ma ustalić praktyczne wytyczne działania. Jest to zatem próba powołania przedstawicieli społeczeństwa i życia gospodarczego do współudziału w realizacji planów Rządu, mających na celu ożywienie życia gospodarczego i przełamanie nasuwających się w tej dziedzinie przeszkód i trudności. Rząd p.p. Kościałkowskiego i Kwiatkowskiego usiłuje, jak widać, realizować swe deklaratoryjne zapowiedzi o nawiązaniu ścisłego kontaktu i współpracy z t. zw. społeczeństwem i czynnikami społecznemi.

Wszystko byłoby zatem w porządku, i inicjatywie rządowej możnaby przyklasnąć, gdyby... gdyby nie pewne „ale", które celowość tej „wielkiej narady" stawia pod znakiem zapytania i które może odjąć jej tę wagę i znaczenie, jakie niewątpliwie pragnie się jej nadać. Tem „ale" jest wybitnie jednostronny skład instytucyj i osób, które mają wziąć udział w „naradzie", wynikający z faktu niezaproszenia na nią przedstawicieli świata pracy, t. j. robotników i pracowników i że zasługuje na zastanowinie się, jakie motywy mogły spowodować, że do udziału w opracowaniu praktycznych wskazań w najważniejszych zagadnieniach gospodarczych i finansowych państwa, Rząd zaprasza jedynie t. zw. sfery gospodarcze i bankowe, które przecież reprezentują interesy „Lewjatana", nie zawsze, a raczej rzadko zgodne z interesami gospodarczemi Państwa, jako całości i całego naszego organizmu gospodarczego. Zaproszenie do współudziału w naradzie przedstawicieli samorządu gospodarczego, t. j. izb przemysłowo-handlowych oraz na okrasę i samorządu terytorjalnego, nieznacznie tylko osłabia tę jednostronność.

Nie znamy, oczywiście istotnych motywów, dla których uznano, że przedstawiciele świata pracy nie mają nic do powiedzenia w aktualnych zagadnieniach gospodarczych, dla których zlekceważono sobie ich współudział w opracowaniu praktycznych wskazań w aktywizacji życia gospodarczych, dla których nedoceniono sobie ten temat dowolnie snuć swoje przypuszczenia i hipotezy.

Skłonni jesteśmy tedy przypuszczać, że najistotniejszym motywem w tym względzie jest zakorzeniony, ale tem nie mniej z gruntu fałszywy pogląd, że t. zw. świat pracy i jego reprezentanci, t. j. ruch zawodowy, powołani są jedynie do reprezentowania i obrony swych grupowych, czy też klasowych interesów i że jedynie w dziedzinie tych interesów mogą być powoływani do wyrażania swej opinji i swego zdania. Ale zagadnienia ogólno-gospodarcze, finansowe Państwa, obrotu towarowego, obciążeń publicznych t. zw. inicjatywy prywatnej — cóż to wszystko może obchodzić świat pracy i cóż mądrego lub wartościowego mogą w tej sprawie powiedzieć przedstawiciele i działacze ruchu zawodowego?

Taki pogląd, a właściwie taki przesąd, panuje u nas jeszcze dość powszechnie, pieczołowicie zresztą pielęgnowany i narzucany społeczeństwu i czynnikom Rządowym właśnie nie przez kogo innego, jak przez t. zw. sfery gospodarcze i bankowe, które uważają się za jedynie powołane i kompetentne do zabierania głosu w gospodarczych i finansowych zagadnieniach Państwa i opracowywania wszelakich „praktycznych wskazań" dla każdego Rządu. Że pogląd taki jest zrozumiały u tych właśnie „sfer", „czynników" i „działaczy" gospodarczych, którzy przywykli interes swych przedsiębiorstw identyfikować z interesem państwa — to jest rzecz jasna i oczywista, i nikogo to nie dziwi, choć jest to pogląd z gruntu fałszywy. Że jednak Rząd, który przecież ma reprezentować interes całości, strzedz interesów zbiorowości, uledz może tej sugestji — to już trzeba uznać za fakt niepokojący i bardzo dla przyszłości niebezpieczny.

Ruch zawodowy, reprezentujący szerokie warstwy robotników i pracowników, dawno już wyszedł poza ciasne opłotki zagadnień, bezpośrednio, i że się tak wyrazimy „klasowo" ich obchodzących. Dawno już minął okres, gdy związki zawodowe same uważały się powołane jedynie do obrony bezpośrednich materjalnych interesów swych członków. W naszych oczach dokonała się głęboka przemiana, która z ruchu zawodowego robotników i pracowników stworzyła głęboki i wartki nurt, który niesie ze sobą aspiracje, tęsknoty i dążenia szerokich warstw społecznych. Dziś warstwy te coraz bardziej czują się odpowiedzialne za całość naszego życia, coraz bardziej zdecydowanie sięgają po współudział w kierownictwie wszystkiemi dziedzinami, a przedewszystkiem gospodarczo-społeczną dziedziną naszego życia. Czując tę odpowiedzialność, sięgając po współudział w kierownictwie, nietylko formułują programy, ale dają odpowiedzi, jaką drogą i jakiemi „praktycznemi wskazaniami" należy je w życiu realizować. Nie są i nie mogą być im obce zagadnienia walutowe, finansowe, czy kredytowe, zagadnienia obrotu towarowego, czy obciążeń publicznych, inicjatywy prywatnej, czy przedsiębiorstw państwowych, a tembardziej inwestycyj publicznych i środków, mogących prowadzić do ożywienia życia gospodarczego.

Wszystkie te zagadnienia równie silnie i głęboko są przetrawiane przez świat pracy, który świadom swej współodpowiedzialności za Państwo i gospodarkę narodową, jako jeden z najważniejszych jej elementów i walorów, uważa nietylko za swe prawo, ale i za obowiązek dawać na nie swoją odpowiedź i swoje wskazania.

Czyżbyśmy chcieli, pomijając i lekceważąc tę ewolucję i przemiany, wracać do czasów, kiedy robotnik i pracownik był uważany jedynie za najemnika, a nie za równo- i pełnowartościowy współczynnik naszego życia, rozwoju i potęgi gospodarczej? Czyżbyśmy pragnęli zamknąć robotników i pracowników jedynie w kręgu ich materjalnych i klasowych interesów i przeciwstawić je „interesom państwowym", odbierając im prawo i możność współdziałania w opracowywaniu praktycznych wskazań i wniosków, dotyczących przecież całości naszego życia?

Nie może to w każdym razie leżeć w interesie państwa i dlatego przypuszczamy wbrew zapowiedziom, że „Wielka Narada Gospodarcza" odbędzie się z udziałem przedstawicieli świata pracy, w stosunku odpowiadającym jego istotnej roli w życiu gospodarczem.

J. Ł.

Rozbrojenie psychiczne narodu

Jesteśmy świadkami niebezpecznego rozbrojenia psychicznego narodu. Na powierzchnię wydobywają się dziwne płycizny, rzeczy uderzająco małowartościowe. Kraj żyje plotką. Przykładów szukać nie trzeba. Piszący te słowa słyszał, jak w pewnym środowisku ziemiańskiem jeden z obecnych informował, że Sławek strzelał do Śmigłego, którego zasłonił własnem ciałem Beck i dlatego musiał pojechać na kurację do Rabki. Otoczenie słuchało z uwagą. Opowiadający, zamożny utytułowany ziemianin, skończył nadto wyższy zakład naukowy zagranicą. Pewien znajomy powtarzał mi rozmowę, której był świadkiem w Katowicach: dyrektor poważnego przedsiębiorstwa opowiadał „z najlepiej poinformowanego źródła", że pewien nasz dygnitarz gospodarczy za wiedzą rządu wywiózł w walizach dyplomatycznych dla potajemnego zastawienia zagranicą dwieście miljonów złotych. Ze słuchających, a tym razem byli to przemysłowcy, nikt nie zastanowił się, ile taki transporcik ważyłby...

A przecież i tu i tam brednie te lansowano w sferach „najświatlejszych" społeczeństwa.

Nie ma chyba tej plotki, którąby się nie przyjęła. Gdyby ktoś chciał robić wątpliwej wartości żarty i fabrykować je ad hoc, po dwuch tygodniach może je odbierać z różnych stron.

Strach pomyśleć, jak takie społeczeństwo zachowa się w czasie wojny.

Ale w czasie pokoju, na froncie gospodarczym, to rozbrojenie z wartości psychicznych jest równie niebezpieczne.

W tym roku na prowincji niemieckiej, w małej kasie oszczędnościowej, która miała wkładów na 70,000 mk., obserwowałem chłopa, który przyszedł z wkładem 5000 mk. za rocznem wymówieniem. W gruncie rzeczy było ono trzyletniem, bo kiedy upłynie rok po wypowiedzeniu, przepisy niemieckie nie pozwalają wypłacać więcej, jak po trzysta marek miesięcznie.

Marka niemiecka jest bez pokrycia, wie to każdy chłop. Ceny mają, mimo żelaznej dyscypliny, tendencję zwyżkową. Ów wkładca, jeśli się zabiera do kupna jakiej młockarni czy wirówki, niewątpliwie spostrzega, że pod tym, czy innym pozorem (cofanie rabatów ekstra, bonifikat, zaliczanie porta i t. p.) rzecz którą zamierza nabyć — drożeje. A mimo to zamurowywuje pieniądze na trzy lata.

Pytałem kierownika kasy, czy wkłady się zmniejszają? Nie, napływ ich jest równomierny. Kasa nie czuje żadnych tendencji w kierunku runu. Pytałem o to samo kierowników kas w dwu innych miasteczkach. Potwierdzili.

A przecież kraj ten niedawno przebył straszliwą inflację. Jakże wielkim kapitałem w wartościach psychicznych rozporządza Hitler u swych obywateli!

A teraz proszę pomyśleć, że Polska obniża walutę nie już, jak Anglja, — o trzydzieści procent, ale niechby tylko o pięć. Jakie zjawisko oglądalibyśmy?

To rozbrojenie psychiczne narodu wybija się na czoło naszych trosk. Rozumiemy, że dusza ludzka, to równie ważny surowiec gospodarczy, jak każdy inny, z tą różnicą, że nie możemy go importować za żadne pieniądze. Trzeba więc go regenerować za wszelką cenę.

Zanim zastanowimy się, jak podjąć tę regenerację duszy polskiej, powinniśmy zdać sobie sprawę z przyczyn, które ten zapad psychiczny wywołały .

Tych przyczyn było wiele, powtarzanie ich jest powtarzaniem truizmów. Spadek kultury szlacheckiej, nieprzystosowanej do form nowoczesnego życia, brak mieszczaństwa, półtora wieku niewoli, odrębne życie zaborów, położenie między wschodem i zachodem, sprawiające, że dusza polska jest jak istm między dwoma oceanami, spłukiwany przez wodę, mający kontury zamglone i nieoczekiwane — to wszystko sprawy w sumieniu narodowem dostatecznie wyważone, sprawy, których prapoczątki były przedmiotem troski jeszcze Jagiellońskiej epoki.

A przecież, od tych wieków poprzedzających mamy testament, że te wady mogą być zadatkiem wielkości. Że predestynują. Wielka myśl polskich statystów, że taki Naród, jak Polski, „na równinie nikomu niebronnej" — nikomu niebronnej nietylko geograficznie, ale i charakterem Narodu — nie może być narodem bylejakim, bo przepadnie. Ta wielka myśl, z ułomności, ściślej powiedziawszy — z trudności charakterów Polaków biorąca asumpt wielkości, wynaturzyła się w ubóstwianie wad narodowych.

Teraz, kiedy mamy ponownie niepodległość, zważyć powinniśmy, czy do tego ciężkiego dziedzictwa, sprawiającego, że rządzić psychiką naszego narodu jest trudno, nie dorzuciło nasze pokolenie nowych głazów.

* * *

Widzę dwa poważne obciążenia. które nam do spuścizny wieków przybyły. Pierwsze — to, że nie zapłaciliśmy pełnej ceny za niepodległość. Drugie to, że własnymi rządami zabijaliśmy obywatela w Polsce.

Bierne cierpienia nie są zapłatą. Tą zapłatą dziejową może być tylko świadomy czyn. Mieliśmy podczas niewoli dosyć świadomych czynów, by okupić trwanie narodu. Ale nie mieliśmy dostatecznie nasilonego, powszechnego dążenia do wybicia się na niepodległość. Obóz, którego to było dążeniem, nie może okupić tego. Niepodległość jest wspólnem dobrem ogółu, nie zaś własnością obozu. Ten ogół jest dłużnikiem. Musi spłacić rzetelnie kapitał z wiekiemi procentami, jeśli chce być gospodarzem własnego losu. Spłata biernem cierpieniem w jarzmie kryzysu nie zarachowuje się, jak nie zarachowały dzieje ani tyfusu plamistego, ani głodu, ani krwi przelanej w zaborczych armjach.

Jeśli miljony obywateli nie mają czystego sumienia względem Państwa, które powstało poza nimi do życia, to nie kto inny, tylko te miljony, same we własnem poczuciu stawiają się jako obywatele drugiego rzędu.

Urównouprawnić ich we własnej ich świadomości to jest pierwszy krok do silnej Polski. Starając się zmniejszyć ciężary, które biernie dźwiga obywatel, równocześnie starać się trzeba o zwiększenie ciężarów, które bierze na siebie czynnie i dobrowolnie. Bo tylko tym pieniądzem zapłaci udział w spółce dziejowej, jaką jest naród i otrzyma prawo głosu — moralne, a nawet dosłowne.

Na drodze do tej ekspijacji obywatela stoi system rządów zakorzeniony w Polsce.

Za system ten odpowiadają ludzie, którzy mają ten zaszczyt niezmierny, że należeli do szczupłej części narodu, która czynnem poświęceniem spotkała zwrot dziejowy. Ta szczupłość obozu stała się jednak genezą jego wad. W działaniu uprzedniem nieraz należało iść wbrew narodowi, poza masą. Te metody, dobre dla formacji ochotniczych, zawodzą przy mobilizacji powszechnej. Obywatel w państwie współczesnem jest zmobilizowany. Morale tej armji pokojowej w Polsce, niestety, szwankuje. Taką armją się nie zwycięża. Taką armję trzeba wychowywać. Lecz inne są metody wychowawcze względem ochotników, inne względem ludzi wziętych z poboru.

To była geneza: stosunek do społeczeństwa ludzi osamotnionych. To dało cechom rządów w Polsce charakter, jakby krajem rządził spisek stojący poza społeczeństwem. Niepotrzebnie.

Do tej genezy doszły nawyki. Nawyki wojskowe. Odpowiednie dla pewnego typu pracy i dla pewnego typu kształcenia charakterów — nie mogły starczyć na typ obywatela cywilnego, na różne dziedziny życia, jak handel i przemysł, oświata i literatura, myśl społeczna i inicjatywa.

Genezę wzmocniły nawyki, a nawyki ubezpieczyła obecność olbrzymiego autorytetu, za którego plecami można było nie troszczyć się o zbiorowy rząd dusz.

Ten trójdźwięk genezy, nawyków i autorytetu miał dwie fazy: pozytywną i negatywną.

Pierwsza trwała do 1930 r., nim nie wybrzmiały wszystkie echa rozprawy z centrolewem i nim nie zdobyto Sejmu, który stał wpoprzek sprawnej władzy wykonawczej. Zdumiony obywatel widział, że jakaś racja stanu ma sobie za nic potężnych gardłaczy, że jakaś silna ręka nagina wszystkie czynniki w Polsce do współdziałania. Od czasów Batorego i Samuela Zborowskiego nie leżała Polska na takiem kowadle.

Druga faza trwa dotychczas, istnieją przecież oznaki, że się kończy. Cechą zasadniczą tej fazy było działanie Bezpartyjnego Bloku Współpracy z Rządem i styl, jakim się począł rządzić w Polsce.

Rzec można, że jak myśl Batorego, „szlacheckiego króla", jak myśli polskich statystów, ubezpieczających istotną wielkość narodu na jego cechach odśrodkowych, na jego poczuciu wolności — skarlały w epigonach gardłujących za złotą wolnością, tak metody rządzenia wielkiego budowniczego, Piłsudskiego, wynaturzyły się w pewien sposób, przeciwstawiając partyjnictwu formę, a nie treść w metodzie politycznej Bezpartyjnego Bloku.

Zasada Marszałka, aby dobierać przedewszystkiem charaktery, wiara w swoich

żołnierzy, że potrafią zmagać się z trudnościami na każdym, najbardziej sobie obcym posterunku, zasada ta, stanąwszy wobec konieczności działania na wielkim, często nieznanym terenie, wynaturzyła się w niebezpiecznem spaczeniu przejętego ze świata partyjnego pojęcia „swoich". Próba charakteru jest kosztowną i długą próbą. Zamieniono ją uproszczoną próbą — „lojalności" i „posłuszeństwa".

W ten sposób zwichnięto wykonanie planu wychowawczego w stosunku do społeczeństwa. Każdy z nas widzi wkrąg siebie wielkie ilości ludzi pracujących uczciwie i ofiarnie. Należało im dać możność zrobienia wkładu, okupienia Niepodległości. Zagadnienie polegało na tem, czy te wielkie masy bardzo dobrego, ale ideowo, państwowo nie dochowanego materjału, zostaną podciągnięte, czy zepchnięte w dół.

Zostały zepchnięte w dół. I to są nieobliczalne szkody, które przyniosły Polsce metody Bezpartyjnego Bloku.

Któż z nas, przyglądających się temu, co się dzieje, nie widział, jak z dnia na dzień odbywał się proces odchodzenia od zagadnień ogólnych coraz to nowych ludzi. Nie mówię o zawodowych politykach i społecznikach, którzy, rozżaleni, odbywają dobrowolną, lub przymusową kwarantannę. Mówię o szerszych masach ludzkich.

Kiedy na pierwsze wezwania państwowotwórcze nierychliwie może reagowali zasumowani nieraz egoistyczną potrzebą, lecz niemniej zdolni i do troski ogólnopaństwowej obywatele naszych miast, wsi i miasteczek, pomiędzy nimi a obozem stawały nieraz elementy krzykliwe, powierzchowne, nie mające pojęcia o pracy, nie mające żadnego zachowania u współobywateli, lecz zato wysoce gorliwe i licytujące się w posłuszeństwie. Kontakt się zrywał. Zamiast siły społecznej pozostawała często na placu fikcja pracy społecznej, która coraz mniej stała „własnymi siłami", coraz bardziej „silnemi władzami".

Ten proces, przerobiony z zadziwiającem podobieństwem na terytorjum całego kraju, upodobnił B. B. do potężnej wirówki, niestety, niezawsze wydobywającej na powierzchnię siły najbardziej wartościowe. Obok śmietanki wydobywano i piany. Ta piana zaciągnęła całą Polskę śliskim szlamem. Kierownicy B. B., uczciwi i ideowi ludzie, przerazili się; poczęli biczować tych swoich adherentów. Rozwiązali się, rozbiwszy w ten sposób już i uprzednio słabe więzi społeczne kraju.

Ale cóż nas obchodzi rozprawa B. B. z tym karjerowiczowskim, deklamatorskim szlamem. Nie wydobywa ona skostniałej, wyziębłej, rozbitej, ciemnej masy obywateli.

Pochylamy się nad nimi w trosce. Bo to są nasi rodacy. Któż to i kiedy po raz ostatni powiedział im to słodkie słowo?

Kazimierz Zakrzewski

Bandy albeńskie

Henryk Rzewuski jest dzisiaj pisarzem chyba całkowicie zapomnianym. Może więc niejeden czytelnik nie pamięta, że ten ciekawy i bardzo utalentowany przedstawiciel reakcji polskiej w połowie XIX w. do wyżyn ideału podniósł „Bandę albeńską", jak się nazywała zdyscyplinowana i umundurowana organizacja szlachty, stojąca na usługach Radziwiłła „Panie Kochanku", jednej z decydujących postaci w Polsce XVIII w.

Ta banda albeńska, która nie obserwowała króla w Warszawie, uznając jedynie pana na Nieświeżu, przypomniała się spowodu zajścia, jakiego widownią był Nowy Świerzeń w powiecie stołpeckim, gdzie znajduje się tartak, należący do dóbr radziwiłłowskich. Administracja tartaku jednostronną decyzją (bez uprzedniego porozumienia z robotnikami) obniżyła płace robotnicze ze zł. 1,93 do 1,50 dziennie. Napróżno robotnicy powoływali się na okólnik rządu, wypowiadający się przeciwko obniżkom płac; miejscowe władze administracyjne w sporze nowoświerzeńskiem stanęły po stronie „kapitału" radziwiłłowskiego, a przeciwko robotnikom. „Okólnik nie jest ustawą"... W powiecie stołpeckim zaś obowiązuje niepisana konstytucja... z XVIII w., nakazująca trzymać stronę potomków księcia Panie Kochanku, wrazie potrzeby nawet i przeciw rządowi warszawskiemu.

Opór robotników zorganizowanych, nawiasem mówiąc, w Związku Związków Zawodowych, a więc w organizacji, stojącej na gruncie narodowo-państwowym został złamany siłą... fizyczną. Mimo, że mamy materjał dotyczący tej sprawy, nie chcemy zatrzymywać się nad odtworzeniem przebiegu zajść tembardziej, że mogłoby to doprowadzić łatwo do konfliktu z p. cenzorem.

Chcemy natomiast przejść od tej sprawy do rzeczy bardziej ogólnych, a to tembardziej, że Nowy Świerzeń nie stanowi w naszej rzeczywistości pozycji odosobnionej; takich Nowych Świerzeniów jest nawet bardzo wiele. Wprawdzie p. poseł Bogusław Miedziński powiedział na Komisji Sejmowej, że „Państwo stało się siłą, która z reguły przyłącza się do **słabszego** w walce ekonomicznej i w ten sposób stanowi pewien wyrównawczy stały czynnik czynnik sprawiedliwości społecznej". Ale to jest, jak mawiał swego czasu we Lwowie pan Olgierd Górka, „dowolna teoryjka". Niechby tak pan generalny referent budżetu pojeździł trochę po kraju, toby się szybko przekonał, z kim trzyma... „Państwo" w osobach lokalnych przedstawicieli władzy na różnych partykularzach naszej rzeczywistości. Chyba, że niesumiennych fabrykantów i bankrutujących ziemian uważamy za „czynnik słabszy w walce ekonomicznej", jeśli tak, to... w porządku.

A jednak nie wszystko jest w porządku. Kształtowanie się sposobu myślenia band albeńskich właśnie w szeregach naszej administracji, a więc czynnika powołanego do stania na straży interesów zbiorowych, jest nawet ze względów ludzkich zrozumiałe. Słabość jest rzeczą ludzką, a któżby mógł negować potężne w takim wypadku oddziaływanie imponderabiljów życia towarzyskiego, bridge'a, polowań, etc.; któżby mógł kwestjonować rolę snobizmu w socjologji rzeczywistości polskiej. Tylko że **Państwo** nie ma z tem wszystkiem nic wspólnego; ono w takiej praktyce życia codziennego jest nieobecne; ono jest całkiem gdzieindziej.

Bandy albeńskie XVIII w. odegrały rolę zgubną dla istnienia Rzplitej. Niszczyły one państwo, rozkładając je w świadomości mas „narodu szlacheckiego". Dzisiejsze bandy albeńskie odgrywają rolę niezmiernie szkodliwą dla spoistości Państwa Polskiego, dla jego — użyjemy modnego dziś terminu — „mocarstwowości". Rozkładają i przekreślają to pojęcie w świadomości mas pracujących miast i wsi.

Wprawdzie stosunek państwa do jednostek czy warstw społecznych powinien układać się w płaszczyźnie zupełnej równości i tożsamości ich traktowania przez państwo. Ale w praktyce musi obowiązywać aparat państwowy reguła, sformułowana w sposób zupełnie wyraźny przez p. Miedzińskiego w przytoczonem już przemówieniu: Państwo musi **faworyzować** czynniki gospodarczo słabsze. I to nietylko ze względów podniesionych przez p. Miedzińskiego, a więc nietylko dlatego, że w ten sposób Państwo występuje w charakterze rzecznika sprawiedliwości społecznej, wyrównywującego nierówności. Jest jeszcze inny motyw, który dyktuje Państwu taką, a nie inną politykę społeczną. Chodzi o to, że czynniki gospodarczo słabsze, t. j. masy ludowe, są zarazem **politycznie** silniejsze i ważniejsze, stanowią przez swą masowość i przez swą tężyznę jedyny czynnik, który może dostarczyć Państwu podtrzymania w jego marszu ku potędze. Grupy dawnych „privilegies" są z tego punktu widzenia całkiem nieinteresujące i obojętne jest dla siły Państwa, jak się układają stosunki między aparatem państwowym, a między p. Radziwiłłem, czy p. Białokamieniem (poprzedni pan na Nowym Świerżeniu). To natomiast, jak się kształtuje stosunek do Państwa mas robotniczych, czy mas chłopskich nigdy nie jest i nie może być dla nas obojętne — a cóż dopiero w okresie, w którym Polska znajduje się pomiędzy dwiema potęgami, czerpiącemi swe siły ze zbiorowej energji zorganizowanych mas ludowych.

Henryk Rzewuski był konsekwentny. Ten gloryfikator bandy albeńskiej idealizował wprawdzie przeszłość Rzplitej szlacheckiej, ale zarazem uważał, że Polska, jako pojęcie polityczne nie może odżyć i musi rozpuścić się w caracie rosyjskim; że Polacy mogą istnieć jedynie jako Rosjanie mowy polskiej i wyznania rzymskiego. Bądźmyż konsekwentni i my. Polska **anno Domini** 1936 schodzi z linji wyznaczonej w końcu XIX w. przez Józefa Piłsudskiego, z tej linji społecznej, która jedynie zapewniła jej odrodzenie i może zapewnić jej potęgę. Wracajmyż póki czas, wracajmy na tę linję.

Z POWODU STRAJKU, KTÓRY OBJĄŁ WSZYSTKIE DRUKARNIE WARSZAWSKIE, Z WYJĄTKIEM GAZETOWYCH, NUMER NINIEJSZY UKAZUJE SIĘ Z KILKUDNIOWEM OPÓŹNIENIEM.

Tadeusz Łaciński

Rola czynnika obywatelskiego w polskim samorządzie

Ktokolwiek zechce bliżej przyjrzeć się codziennemu życiu samorządowemu gminy wiejskiej, miasta, czy samorządu powiatowego, ten z łatwością stwierdzi, że rola czynnika obywatelskiego w tem życiu jest bardzo nikła.

Ten stan rzeczy, którego genezy należy szukać dość głęboko, jest zły, smutny, a ponadto poddaje w wątpliwość rację istnienia samego samorządu i z tych właśnie przyczyn, celowem byłoby poznać genezę tego stanu rzeczy i zastanowić się, czy nie ma na ten stan rzeczy środków zaradczych.

Nikły udział obywateli w życiu samorządowem wsi, czy miast można, rzecz prosta, przedewszystkiem wyjaśnić tą okolicznością, że samorząd na ziemiach Polski istniał przed wojną, jako do pewnego stopnia polski warsztat pracy publicznej, jedynie w b. Galicji, a pozostałe ziemie Rzplitej nie miały tego samorządu zupełnie, lub też spoczywał on wyłącznie w rękach władz zaborczych. Państwo Polskie powołało do życia samorząd w r. 1919 na całym obszarze b. zaboru rosyjskiego (z pewnemi wyjątkami) i b. zaboru pruskiego; b. Galicja natomiast była w tej dziedzinie upośledzona, bowiem pierwsze wybory do rad gminnych i miejskich odbyły się na tym obszarze dopiero w r. 1927, a więc na tym terenie czynnik obywatelski był przez szereg lat pozbawiony istotnego głosu.

Naogół więc można stwierdzić, że obywatele Rzplitej odniedawna dopiero mają możność pracy w samorządzie i ten stan rzeczy może wiele tłómaczyć i wyjaśniać.

Bliżej charakteryzując obecny stan zainteresowania się szerokich kół społeczeństwa życiem samorządu, należy podkreślić, że wieś wykazuje znacznie większą chęć wprzęgnięcia się w prace samorządowe, niż miasto. Wieś, mająca dziesiątki tysięcy radnych gromadzkich, gminnych i powiatowych, sołtysów, ławników, wójtów i t. p., umie już w wielu wypadkach patrzeć na samorząd, jak na instrument, mogący wiele poprawić i jedynie ciężka gospodarcza sytuacja wsi uniemożliwia szersze wykorzystanie samorządu, jako jednej z dźwigni życia publicznego i społecznego wsi. W miastach niestety, naogół to zagadnienie wygląda inaczej; na pracę w samorządzie patrzy się tu, częściej niż na wsi, pod kątem widzenia ściśle partyjno-politycznym, czy osobistym, szukając w samorządzie przedewszystkiem pola do zaspokojenia swych ambicyj koteryjnych, czy osobistych. Szersze masy ludności miejskiej, — oddzielone chińskim murem urzędniczym od codziennej pracy samorządu i ze względu na skomplikowaną gospodarkę z reguły nie mogące objąć syntetycznie jej całości — codziennem życiem samorządu się nie interesuje. Radnych miejskich jest tu znów zbyt mało, aby mogli oni w należyty sposób reprezentować faktyczne zainteresowania szerokich mas ludności miejskiej.

Ogólnie charakteryzując ten stan rzeczy, należy stwierdzić, że szerokie masy ludności nie interesują się naogół należycie życiem samorządów, przeważnie zresztą bez własnej winy, i że w tym stanie rzeczy należy dążyć do przełamania tej bierności, gdyż wtedy dopiero samorząd będzie spełniał swą istotną rolę i zapewne uniknie w swej gospodarce wielu nieprzemyślanych posunięć.

Zadanie to, polegające na zainteresowaniu szerokich mas obywateli samorządem, spada w pierwszym rzędzie na wójtów, burmistrzów, prezydentów miast i starostów, jako kierowników czterech tysięcy jednostek samorządowych w Polsce. Zadanie to spoczywa i na radnych gminnych i miejskich, na urzędnikach samorządowych, na organizacjach dobrowolnych miast, gmin i powiatów, na ławnikach różnego rodzaju, a wreszcie i na władzach nadzorczych, które z ramienia Państwa mają obowiązek nadzorowanie samorządu.

Niestety życie stwierdza, że zadanie to nie jest spełnione, że poszliśmy w tej dziedzinie po linji najmniejszego oporu, bowiem, osłaniając się pierwszym lepszym pretekstem, dość powszechnie kierownicy poszczególnych samorządów pracują „dla obywateli", lecz nie „z obywatelami".

Ta metoda pracy w samorządzie jest w Polsce specjalnie niebezpieczna i bardzo daleko odbiega od klasycznych metod pracy samorządowej. Ustrój bowiem naszego samorządu i tak już cechuje zasada obsadzania stanowisk kierowników samorządów w drodze nominacji bądź zatwierdzania wyboru i to naogół z grona osób, pochodzących ze sfer urzędniczych, co uzupełnione bardzo wielką ingerencją władz nadzorczych w codzienne życie samorządu, wielostopniową pośredniością wyborów na wsi, ograniczaniem kompetencyj rad — doprowadza do niebezpiecznego zaniku udziału obywateli w samorządzie.

Przeważna część kierowników gmin wiejskich, miast czy powiatów, stosując te antyobywatelskie metody pracy, zapomina, że winna w swym postępowaniu łagodzić sama zasady ustroju samorządu. Zbyt często obawiają się oni rzeczywistego, obracającego się zresztą w granicach ustawowych zadań, udziału rad miejskich, gminnych i powiatowych, komisyj rewizyjnych tych rad, zarządów gminnych, czy miejskich w istotnej pracy samorządowej. Tą niechęć różnie się pozoruje: czasem mówi się o niekompetencji, samemu nią nie grzesząc, czasem wysuwa się względy polityczne, czasem tłomaczy się brakiem czasu, słowem każdy motyw jest dobry, jeżeli pozwala iść po tej najłatwiejszej drodze, pracy nie wspólnej, lecz jednostkowej. W wielu wypadkach, dbając o pozory, tak próbuje się wpłynąć na rezultaty tych czy innych wyborów, by mieć koło siebie jedynie ludzi sobie całkowicie uległych.

W tej sytuacji trudno wymagać, aby obywatele, tkwiący w radach czy zarządach, a odczuwający, jak skromną rolę im dano, mieli ochotę informować swych wyborców o tem, co się dzieje w ich samorządzie. Podobnie trudno wymagać, aby urzędnicy samorządowi postępowali inaczej, niż ich zwierzchnicy. Również dobrowolne zebrania gmin, miast i powiatów, w których przewodzą nie obywatele-radni, lecz ci sami kierownicy samorządów, niewiele, czy nic prawie w tej dziedzinie nie robią.

Zadania te winny więc może podjąć władze administracji rządowej w ogólności, bądź w szczególności władze, nadzorujące samorząd? W tej dziedzinie należy stwierdzić, że administracja rządowa w swej całości nie rozumie idei samorządu, uważa go częstokroć za zbędną dekorację, krępującą ją w swobodzie działania. Administracja ta, wspierana jeszcze zasadniczo słuszną teorję jedności administracji publicznej, dzielącej się na rządową i samorządową, wypacza tę teorję, szukając w niej ideologicznego wsparcia dla swej ambicyj rządzenia i samorządem. Te zaś władze rządowe, które sprawują nadzór nad samorządem, o ile same, jak niektórzy starostowie, nie mają powodu unikania rzeczywistej współpracy ze społeczeństwem, — niewiele w tej dziedzinie mogą zdziałać, zajęte są bowiem olbrzymią pracą sprawowania ściśle biurokratycznego nadzoru nad samorządem.

Z powyższego stanu rzeczy wynika, iż dziś, — wobec stosunkowo krótkiego okresu czasu, przez który istnieje samorząd w Polsce z jednej strony, a pewnych zasad ustroju samorządu, zaostrzonych autokratycznemi metodami postępowania kierowników tych samorządów z drugiej strony, — samorząd jest przeważnie szyldem, dekoracją, a nie faktycznym udziałem obywateli, zorganizowanych w radach i zarządach, w pracy samorządowej. Ten stan rzeczy przekreśla całą wartość wychowawczą i społeczno-polityczną, a również i gospodarczą samorządu.

W tej sytuacji nieodzownem jest, aby wszystkie czynniki, świadome swej odpowiedzialności za losy Państwa, myśląc o samorządzie, nie zapominały o roli obywateli w samorządzie. Ciężka sytuacja samorządu w Polsce, wyrażająca się w braku dochodów, a nadmiarze palących zadań — nie ulegnie naturalnie radykalnej poprawie jedynie przez odbiurokratyzowanie psychiczne władz samorządowych. Nie należy jednak nie doceniać problemów ideologiczno-wychowawczych i najwyższy już czas, aby kierownicy poszczególnych samorządów zrozumieli, że samorząd to nie jest urząd państwowy, budujący szkoły, drogi, szpitale i t. p., lecz znacznie wyższa forma organizacji życia publicznego.

Sądzę, że jeżeli szerokie sfery obywateli, zorganizowane w radach, zarządach i komisjach samorządowych, mogłyby czynniej w nich pracować, niż to się dzieje dotychczas, to znalazłby ten fakt swój wyraz i w opinji publicznej i w ciałach ustawodawczych i w rządzie, i wtedy samorząd nie traciłby co roku części swych dochodów, a nieotrzymywałby nowych zadań do spełnienia, lecz byłby rzeczywistym warsztatem pracy samorządowej, pracującym z korzyścią i dla obywateli Rzplitej i dla Jej wewnętrznego rozwoju.

Zmiany narodowościowe w Małopolsce Wschodniej

na podstawie spisów ludności w latach 1910, 1921, 1931

Porównanie spisów ludności w 1910/21/31 r. ujawnia nam ciekawy proces zachodzących zmian wyznaniowo - narodowościowych na terenie Mał. Wschodniej. W niniejszym artykule obejmujemy porównawczo — całe woj. tarnopolskie, stanisławowskie i lwowskie, odcinając z ostatniego 8 powiatów ściśle etnograficznych polskich. Operować zatem będziemy terenem w przedwojennej terminologji zwanym „Galicją Wschodnią".

Otóż jakie ogólne zmiany zachodziły tutaj?

Rok 1910 — 5.335.821 osób
„ 1921 — 4.869 006 „
„ 1931 — 5.543.345 „

Okres wielkiej wojny odbił się ujemnie na wzroście ludności Mał. Wschodniej. Zamiast przyrostu, sięgającego normalnie ponad 600.000 osób — od 1910 do 1921 r. mamy poważny spadek. Następny okres dziesięciolecia w pewnej mierze wyrównuje straty wojenne. Z uwzględnieniem strat poprzedniego okresu — w stosunku do 1910 r. w b. „Galicji Wschodniej" przyrost naturalny wyniósł skromną cyfrę nieco ponad 200.000 osób. Z trzech omawianych województw absolutny spadek ludności w ciągu 21 lat wykazało woj. tarnopolskie (13.000 dusz), woj. stanisławowskie daje plus 53.000, zaś lwowskie + 168.000 osób. Z cyfr tych widzimy, że najodporniejsze okazało się woj. lwowskie. Dodać należy, że największe bitwy i długotrwałe operacje wojenne 1914 — 1918 r. toczyły się w woj. tarnopolskim i stanisławowskim; w woj. lwowskim działania wojenne odbywały się stosunkowo krótko i z mniejszem nasileniem.

Tyle co do zmian absolutnych. Przejdźmy obecnie do zmian wyznaniowych. Aczkolwiek rubryka wyznaniowa nie identyfikuje się ściśle z narodowością — to jednak skład wyznaniowy w dużej mierze przesądza stan narodowości. Naogół narodowości polskiej jest więcej niż rzymsko-katolików na tym terenie, zaś ludności rusko-ukraińskiej mniej niż greko-katolików; jednak liczby obu tych wyznań i narodowości przeważnie biegną równolegle. Pozatem wiemy, iż istnieją w tej kwestji różne poglądy, mianowicie — czy do nar. polskiej należy zaliczać tylko rz.-katolików, zaś do Rusinów (Ukraińców) — całą ludność unicką.

Jak przedstawiają się zmiany pod względem wyznaniowym:

Wyznania	1910 r. *)	1921 r.	1931 r.	1910	1921	1931
Rzymsko-katolickie	1.349.630	1 355.755	1.696.276	25,3 %	27.8 %	30.6 %
Greko-katolickie	3.291.440	2.945.820	3,233.212	61,7 %	60,5 %	58,3 %
Mojżeszowe	658.740	538 375	567.554	12,3 %	11,1 %	10,2 %
Protestanci i inne	35.540	29.056	46.403	0,7 %	0,6 %	0.9 %
Razem	5.335.350	4.869 006	5,543.445	100,0 %	100,0 %	100,0 %

*) Dane czerpane z pracy p. St. Pawłowskiego: „Ludność rzymsko - katolicka w polsko - ruskiej części Galicji".

Zestawienie powyższe mówi, że z 3 głównych wyznań — ludność rzymsko-kat. wzrosła najwydatniej. W ciągu 20 lat przyrost wyniósł ponad 346 000 osób. Oba dalsze wyznania wykazują poważny ubytek — unici cofnęli się o 58.000, zaś wyzn. mojżeszowe jeszcze silniej o 91.000 osób. Protestanci są złączeni w grupie innych — tutaj również jest poważne cofnięcie.

Procentowo zmiany zarysowały się jeszcze silniej. Najbardziej obniżyła się stosunkowo ludność mojżeszowa, obsuwając się z 12,3% na 10,2%. Greko-katolicy cofnęli się z 61,7% na 58,3%. Lata omawiane ujawniły, że cofanie ludności unickiej, zaobserwowane od kilkudziesięciu lat — postępuje w dalszym ciągu.

Natomiast rzymsko-kat. ujawniają silną ekspansję. Odsetek zlekka przekraczający czwartą część ludności w 1910 r. — wzmaga się w 1921 r., zaś w 1931 r. przekracza znacznie 30%. Przyrost procentowo w stosunku do całej ludności wynosi 5,3%. Jest to najbardziej charakterystyczna ewolucja w tej dzielnicy.

Gdybyśmy porównali odsetkowo wyznania w Mał. Wschodn. od 1869 r., to otrzymalibyśmy w okresach 20-leci następujące procentowe zestawienie:

Wyznanie	1869 r.	1890 r.	1910 r.	1931 r.
Rzymsko-katolickie . .	21,8	22,7	25,3	30,6
Grecko-katolickie. . .	64,9	62,9	61,7	58,3
Mojżeszowe	12,4	13,6	12,3	10,2

Na dystansie kilkudziesięciu lat konstatujemy, że ludność rz.-kat. stale podnosi swój odsetek, greko-kat. stale się obniża, mojżeszowa wykazuje linję łamaną, lecz od 1890 r. idącą również wdół.

W poszczególnych województwach przyrost rz. kat. jest nierównomierny. Największe zyski wykazuje woj. tarnopolskie, najmniejsze woj. stanisławowskie. Przytoczymy cyfry ludności rz.-kat. z 3 spisów.

Województwa	1910 r.	1921 r.	1931 r.	1910 r.	1921 r.	1931 r.
Lwowskie	713.240	716.671	863.729	31,1%	33,1%	35,1%
Tarnopolskie	439 750	447.810	566.603	27,3 „	31,3 „	36,7 „
Stanisławowskie	196 640	191.274	245.944	13,8 „	15,0 „	16,6 „
Razem . . .	1.349.630	1.355.755	1.696.276	25.3%	27.8%	30,6%

Dla całości dodajemy, że pow. Turka, który w 1910 i 1921 r. był zaliczany do woj. Stanisławowskiego — 1931 r. został statystycznie wcielony do woj. lwowskiego — w naszych obliczeniach przesunęliśmy go jednolicie do woj. lwowskiego.

Najsłabszy przyrost zarówno liczbowy, jak i procentowy daje stanisławowskie. Województwo to ma zdecydowaną większość unicką, zaś napływ ludności do powiatów górskich był i jest niewielki. Poważniejszą zmianę wykazuje tutaj tylko pow. Tłumacz (9.2%), inne natomiast dają przyrost od 1 do 4%. Trudności porównawcze w poszczególnych powiatach powstały stąd, że kilka z nich zostało bądź podzielone, bądź wcielone do innych powiatów.

Woj. lwowskie wykazało powolną linję rozwojową. Przyrost ilościowy w ciągu 20 lat przekracza półtorasta tysiąca rz. kat., procentowo zwyżka daje 4%. Zmiany jednak są tutaj b. nierówne. 2 powiaty mają przyrost od 0 do 2%, 9 powiatów od 2 do 5%, zaś 7 powiatów od 5 do 10%. Największe zyski rz. kat. dają powiaty, idące szerokim pasem środkowym województwa od ziemi etnograficznej czysto-polskiej do powiatu i m. Lwowa. 11 powiatów — Jarosław, Przemyśl, Dobromil, Cieszanów, Jaworów, Mościska, Sambor, Rudki, Drohobycz, Gródek Jag. i pow. lwowski (bez m. Lwowa) — o ludności 1.3 milj. osób — wykazuje ogólnie 5% zwyżki rz. kat. — dosięgając łącznie w 1931 r. — 36.6% całej ludności rzeczonego pasa terytorjalnego.

Natomiast 2 powiaty w województwie wykazują spadek procentowy: pow. Turka i miasto Lwów. Turka jest położona w terenie górskim, lekki spadek ludności około 1% nie wzbudza większej uwagi. Natomiast stolica Mał. Wsch. — m. Lwów wykazuje tendencję, która wymaga osobnego omówienia. Jak m. Lwów przedstawia się cyfrowo:

Rok	Ludność miasta	Rzymsko-kat.	Grecko-kat.
1880 r.	109.746	58.602	17.469
1900 „	159.877	82.590	29.327
1910 „	206.113	105.469	39.314
1921 „	219.388	112.583	26.627
1931 „	312.231	157.490	49.747

Mojżesz.	Rzymsko-kat.	Grecko-kat.	Mojżesz.
30.961	53.1%	16,2%	28,2%
44.258	51.7 „	18.3 „	27.7 „
57.387	51.2 „	19.1 „	27.8 „
76.925	51.3 „	12,1 „	35,0 „
99.595	50.5 „	15,9 „	31,9 „

Lwów stale powiększa swoją ludność. Przegrupowanie procentowe jednak jest niekorzystne dla wyznania rz. katolickiego. W porównaniu do 1880 r. — ludność mojżeszowa powiększyła się o 3.7%, kosztem rz. katolików; unici utrzymali prawie swój stan posiadania. **Jest faktem charakterystycznym i godnym podkreślenia, że o ile cała dzielnica — Mał. Wschodnia — wykazuje stały wzrost, o tyle stolica tego**

kraju Lwów — wykazuje powolne, lecz stałe cofanie odsetka rzymsko-katolików.

Przechodząc do woj. tarnopolskiego — stwierdzić należy, że zmiany tutaj są największe. Przyrost rz. kat. jest poważny — 147.000 osób — procentowo otrzymujemy silne powiększenie gdyż 9,4%. **Tarnopolskie w 1931 r. już wykazuje największy odsetek rz. katolików w całej dzielnicy.**

W woj. tarnopolskiem tylko 1 powiat wykazał wzrost mniejszy od 5% (Brody). 10 powiatów dało zwyżkę 5 do 10%, zaś 6 powiatów wykazało ponad 10% wzrostu w stosunku do 1910 r. Największe zyski wykazał pas od m. Lwowa w prostej linji do granicy sowieckiej, a mianowicie powiaty: Przemyślany, Zborów, Brzeżany, Podhajce, Tarnopol, Skałat, Czortków. Woj. tarnopolskie — to Podole galicyjskie — mające dobrą i żyzną glebę, zawsze pociągało do siebie kolonizację (Mazurzy w dawnych czasach). Obecnie po zniszczeniach wojennych — do Tarnopolskiego odbywała się ludna kolonizacja, która dała silne przegrupowanie wyznaniowo-narodowościowe tego województwa.

* * *

Odwrotny obraz dynamiki cyfr wykazują wyznania: greko-katolickie i mojżeszowe — oba cofnęły się poważnie w omawianym okresie czasie: Przytaczamy cyfry greko-kat. w poszczególnych województwach (pomijamy dla przejrzystości 1921 rok).

Województwa	1910	1931	1910	1931
Lwów	1.270.040	1.282.222	55.3%	52.1%
Tarnopol	979.800	871.971	60.8 „	54.5 „
Stanisławów . .	1.041.600	1.079.019	73.0 „	73.0 „

Absolutne zmniejszenie unitów wykazuje Tarnopol. Lwów utrzymał z małą przewyżką stan przedwojenny, Stanisławów dał wyraźne powiększenie. Procentowo Tarnopol dał stratę unitom 6.3%, Lwów—3.2%, Stanisławów utrzymał przedwojenny odsetek.

Gdybyśmy cyfry te zestawili z przegrupowaniami rzymsko-katolików, to otrzymalibyśmy taki stan: im większe zyski u rzymsko-kat., tym większe straty u unitów i odwrotnie straty rz.-kat. — to w dużej mierze plusy dla unitów. Oba te wyznania przedstawiają obraz całkowicie do siebie odwrócony.

Wyznanie mojżeszowe w omawianym okresie czasu przedstawiało się następująco:

Województwa	1910	1931	1910	1931
Lwów	293.890	293.691	12,8%	11.9%
Tarnopol	188.300	134.117	11,7 „	8.4 „
Stanisławów . .	176.550	139.746	12,4 „	9,4 „

Ludność mojżeszowa w woj. lwowskiem utrzymała swój stan liczebny. Decydującą rolę odegrało m. Lwów, gdzie jak mówiliśmy powyżej — statystyka wykazuje olbrzymi napływ tej ludności. Natomiast znaczny spadek widzimy w woj. tarnopolskiem. Zmniejszenie tutaj wynosi około ¹/₃ tej ludności. Również obniżenie ilościowe i procentowe wykazuje Stanisławowskie.

Reasumując przegrupowania 3 wyznań w Mał. Wschodniej stwierdzić należy: 1) największe zmiany zaszły w woj. tarnopolskiem, 2) ludność rzymsko-katolicka wykazała wszechstronną ekspansję, najbardziej w Tarnopolskiem — które wykazuje obecnie największy odsetek rz. kat. 3) m. Lwów wykazuje spadek stosunkowy ludności rzymsko-kat., a ekspansję ludności żydowskiej, 4) ludność mojżeszowa zmniejszyła się procentowo i absolutnie, 5) ludność unicka wykazała straty absolutne i procentowe, 6) woj. Stanisławowskie utrzymuje swą zdecydowaną przewagę ludności unickiej.

Przegrupowania narodowościowe

Zmiany narodowościowe dokonywują się na nieco innych podstawach. W pierwszym rzędzie należy wysunąć fakt, że przed wojną w Austrji nie uznawano w spisach języka żydowskiego. Żydzi wbrew swym poglądom i ideom — nie mogli (po za wyznaniem) ujawnić swej siły narodowościowej. To też Żydzi w 19 wieku — przeważnie podawali za język domowy — niemiecki, w 20 stuleciu znaczna większość podała się jako Polacy. Obecnie w 1921/31 r. nie było już żadnych przeszkód do uzewnętrznienia swej świadomości narodowej. Jakie zmiany narodowościowe wykazują kolejne spisy:

Języki	1910 *)	1921	1931	1910	1921	1931
Polski	2.113.574	1.903.480	2.314.431	39,6%	39,1%	41,7%
Rusko-ukraiński	3,133.174	2.610.082	2.795.128	58,9%	53,6%	50,4%
Żydowski.	—	322.365	391.342	—	6,6%	7,1%
Inne	89.073	33.079	42.544	1,5%	0,7%	0,8%
	5.335.821	4.869.006	5.543.445	100%	100%	100%

*) Dane z pracy p. St. Thugutta „Polska i Polacy".

Dodajmy dla wyjaśnienia, że zestwienia statystyczne z 1931 r. wyodrębniają dwie grupy językowe: ukraińską i ruską. Nie chcąc zaciemniać obrazu porównawczego, obie te grupy łączymy w jedną — ukraińsko-ruską.

Z przytoczonych cyfr widzimy, że w porównaniu do okresu przedwojennego, ludność polska wykazała pozornie niewielki wzrost, gdyż zaledwie 2,1%. Należy to wyjaśnić powstaniem obecnie rubryki języka żydowskiego, którego w 1910 r. nie było, a teraz ujawnił 7%. Spadek ludności rusko-ukraińskiej dosięga do 8.5% — i podkreślić należy, że jest rzeczywistem cofnięciem się. Ludność ta w 1931 r. już tylko wynosi 50% całej tej dzielnicy.

Z poszczególnych województw największe zmiany dla ludności polskiej dodatnie w ciągu 20 lat wykazało Tarnopolskie (z 41.2 na 49.3%), słabszy przyrost przedstawia woj. lwowskie (47,1 — 48.4). Natomiast Stanisławowskie daje cofnięcie się (25.8 na 22.4%) — należy jednak mieć na uwadze obecne ujawnienie spisowe ludności żydowskiej.

Odwrotnie kształtowały się stosunki u ludności ukraińsko-ruskiej; woj. tarnopolskie w 1931 r. wykazało 45.5%, lwowskie 42.6% ogółu ludności. W obu zatem wapomnianych województwach ludność ruska spadła niżej połowy — przyczem odsetki te są już mniejsze od ludności polskiej. Stanisławowskie posiada wysoki odsetek ludności ruskiej (68,8%), co świadczy o zdecydowanym charakterze zarówno wyznaniowym jak i narodowościowym tego województwa.

Charakterystyczną jest ewolucja ludności żydowskiej. Coraz silniejsze są tutaj tendencje zaliczania wyznania mojżeszowego do ludności żydowskiej. O ile w 1921 r. 40% izraelitów podało się jako Polacy, to w ostatnim spisie odsetek ten zmniejszył się już do 31%. Pod tym względem ludność mojżeszowa ewoluje w tym kierunku, jak to się obserwuje w b. Kongresówce i na Kresach Wschodnich, gdzie częściowe dane 1931 r. w tych województwach wykazują, że język polski jako domowy podaje od 1 do 5% całej ludności mojżeszowej.

W jakich powiatach ludność polska ma absolutną przewagę? Wysuwają się tutaj 3 ośrodki: **Pierwszy to kilka powiatów sąsiadujących z naszą granicą etnograficzną,** należy tu wymienić powiaty: Jarosław, Przemyśl, Mościska, Sanok, Brzozów oraz dosięgający do połowy ludności polskiej Lubaczów. **Drugą wyspę polską stanowi:** **m. Lwów,** pow. Lwów i 2 powiaty tarnopolskie: Kamionka Strumiłowa i Przemyślany. **Trzeci ośrodek — to powiaty o starej jeszcze przedrozbiorowej kolonizacji:** Tarnopol, Trembowla, Skałat i Zbaraż. Ludność pomienionych 14 powiatów o absolutnej przewadze polskiej stanowiła w ostatnim spisie 1.693 tysiące osób.

Poważną ilość stanowią powiaty o ludności polskiej ponad 40%. Najwięcej takich ośrodków posiada Tarnopolskie. Po za trzema powiatami leżącemi na krańcach województwa (Radziechów, Brody, Zaleszczyki) wszystkie inne powiaty tarnopolskie wykazują ponad 40% Polaków. W woj. lwowskiem trzy przytykające do siebie powiaty (Sambor, Rudki, Drohobycz) mają wzwyż 40% ludności polskiej. Grupa ta jest o tyle ważna, że stanowi naturalny pomost między wymienionemi dwoma pasami o większości polskiej.

Woj. stanisławowskie wykazuje wszystkie powiaty o przewadze rusko-ukraińskiej. Wszystkie powiaty przylegające do Karpat nie posiadają 25% ludności polskiej. 2 powiaty stanisławowskie Tłumacz i Horodenka wykazują ponad 30% Polaków.

Dla zakończenia zmian ogólnych narodowościowych dodajmy, że ludność niemiecka licząca w 1910 r. 64.814 osób — w ostatnim spisie spadła b. poważnie — a mianowicie na grupę około 20.000 osób.

* * *

Reasumując zmiany narodowościowe, należy stwierdzić bezspornie, że ludność rusko-ukraińska cofnęła się znacznie, dochodząc do połowy całej dzielnicy. Posiadając zdecydowaną przewagę w Stanisławowskiem, w dwu pozostałych województwach stanowi już tylko mniejszość. Ludność polska natomiast obecnie wchłonęła tylko te elementy, które szczerze ciążą do polskości. Przez fakt, że przed wojną olbrzymia większość żydowska podawała język polski, zaś obecnie do języka polskiego zapisała się tylko trzecia część mojżeszowych, dynamika cyfr ludności polskiej uległa spaczeniu. Stwierdzić jednak należy, że o ile 39.6% przedwojennej ludności polskiej nie było ścisłe, o tyle obecny odsetek 41.7% Polaków jest oparty na rzeczywistych elementach narodowych.

J. Z.

Andrzej Cichocki

Cienie reformy szkolnej

II

Realizacja reformy szkolnej w zakresie szkoły powszechnej jest poważnie zachwiana, a sytuacja w szkolnictwie powszechnem coraz bardziej skomplikowana: z jednej strony miljon dzieci poza szkołą, z drugiej strony wzrastające trudności organizacyjne i naukowe w szkołach istniejących! Według ostrożnych obliczeń potrzeba już obecnie na samo tylko zmniejszenie obciążenia jednego etatu nauczycielskiego i sprowadzenie jego do i tak już bardzo wysokich norm kryzysowych, oraz na przywrócenie w szkołach normalnych planów godzin, około 14.000 nowych etatów nauczycielskich, pomijając zupełnie ten miljon dzieci poza szkołą. Sytuacja jest t e m tragiczniejsza, że omawiane tu trudności nie ograniczają się jedynie do województw wschodnich, a zagrażają coraz bardziej nawet tym terenom, które realizowały powszechność nauczania w 100%, z jako tako pomyślnemi wynikami dydaktycznemi. Trzeba tu zatem radykalnych posunięć, trzeba szeroko zakreślonego, realnego planu, obliczonego na całkowite rozwiązanie tego zagadnienia najdalej w ciągu 10 lat. Nie łudzimy się oczywiście, że w ostatecznym bilansie tego okresu nie będzie już ani jednej szkoły powszechnej o nadmiernem obciążeniu, albo o zredukowanych planach godzin, ale wierzymy, że okres ten przyniesie nam całkowitą likwidację zagadnienia dzieci poza szkołą i rozwijającego się stale analfabetyzmu. To jest zagadnienie naczelne, pierwszoplanowe, które w hierarchji celów, realizowanych przez Ministerstwo Oświaty, musi być postawione na pierwszem miejscu. Z enuncjacyj naczelnych władz Ministerstwa Oświaty wnioskujemy z zadowoleniem, że to zagadnienie stało się główną ich troską. Z szczególną też radością powitali wszyscy, którzy mają zrozumienie dla oświaty powszechnej, ten rozdział mowy Wicepremjera Kwiatkowskiego, który świadczył o głębokiem wniknięciu w ten problem. Bez jaknajściślejszej kollaboracji Ministra Oświaty z Ministrem Skarbu, nawet przy największym wysiłku ze strony samego resortu oświaty, realizacja choćby najskromniejszego planu nie jest do pomyślenia.

* * *

Jeżeli chodzi o sam plan działania, to nie naszą jest rzeczą wchodzić na tem miejscu w jego szczegóły, pragniemy tylko wskazać przy sposobności na pewne niepokojące zjawiska ostatniej doby, które wymagają zajęcia wyraźnego i zdecydowanego stanowiska. Z początkiem bież. roku szkolnego zaobserwowano w szkołach, szczególnie okręgów wschodnich znaczny wzrost obciążenia przy utrzymywanej nadal naogół bardzo słabej frekwencji uczniów, która umożliwia nauczycielowi prowadzenie nauki, oczywiście bez większej troski o jej wyniki, które w tej sytuacji muszą pozostawać poniżej wymaganego minimum. Słaba frekwencja powoduje, że w szkole znajduje się niemal codnia inny skład uczniów, pozostawienie zaś znacznej liczby dzieci wogóle poza szkołą jest przyczyną zjawiska, że dziecko nie jest przyjmowane do szkoły w chwili, gdy wchodzi w wiek obowiązku szkolnego, starsze zaś jest usuwane ze szkoły w momencie, gdy po 3, 4 latach nauki kończy wiek obowiązku szkolnego. Stan ten pogorszyłby się jeszcze, jeśli dla osiągnięcia większej skuteczności nauczania ograniczyłoby się liczbę uczniów w szkołach, usuwając tych, którzy powodują omawiane przeładowanie. Przez taką politykę jednak zmieni się niewiele i poziom nauczania nie dźwignie się, bo frekwencja będzie nadal nieregularna. Trudno bowiem egzekwować obowiązek szkolny od jednych, a innych wogóle nie dopuszczać do szkoły na terenach, na których prawo o obowiązku szkolnym nie weszło jeszcze w krew i kości ludności.

Circulus vitiosus...

Z tego impasu trzeba coprędzej znaleźć wyjście. Planowe rozwiązanie zaś całego zagadnienia wydaje się nam możliwe jedynie przez ustalenie poprostu pewnej kolejności terenów, w jakich musi być podjęta walka z fikcyjnością obowiązku szkolnego. Zagadnienie jest bowiem zbyt rozległe, a środki finansowe zbyt szczupłe, aby można było pokusić się w chwili obecnej odrazu o całkowite jego rozwiązanie. Możliwe wydają się nam jedynie cząstkowe rozwiązania terenowe, które, powiązane w realny 10-letni plan, pozwolą ostatecznie w określonym czasie sprawę całkowicie zlikwidować.

Na skromny początek powinny się znaleźć na poprawę sytuacji pewne fundusze w samym resorcie Ministerstwa Oświaty. Trzeba tylko — zgodnie z hierarchją potrzeb — poddać rozumnej rewizji takie wydatki z budżetu Ministerstwa, które muszą ustąpić miejsca temu zadaniu naczelnemu i które są częstokroć wydatkami na cele mało produktywne, świadczące nieraz o przeroście różnych ambicyj, na których zaspokojenie w obecnej sytuacji nas nie stać. Każdy objektywny znawca budżetu Ministerstwa wskaże z łatwością, gdzie tych oszczędności szukać. Znajdzie się je z pewnością w takich działach, jak higjena szkolna, która w aktualnej jej formie jest wogóle przeważnie fikcją, a na lepsze formy nas nie stać, jako na zbyt kosztowne. Znajdą się te oszczędności przez zniesienie na okres najbliższych lat instruktorów okręgowych, a może nawet ministerjalnych, którzy będą mogli powrócić do swoich warsztatów pracy w chwili dla skarbu szkolnego korzystniejszej. Znajdą się one przez likwidację kosztownych biur personalnych, znajdą się przez ograniczenie funkcyj urzędowego aparatu oświaty pozaszkolnej wszędzie tam, gdzie praca jego jest fikcją, polegająca na bezustannem (kosztownem!) kontrolowaniu dobrowolnych świadczeń społecznych nauczycielstwa i przypisywaniu sobie zasług w pracy, wykonanej przez innych. Stąd na wielu terenach przejawiająca się coraz ostrzej wśród nauczycielstwa niechęć do oficjalnej oświaty pozaszkolnej, stąd słabnący jego udział w tej pracy, stąd wreszcie powolne zanikanie różnych jej form, podtrzymywanych dotychczas jedynie przez nauczycielstwo. Obecna sytuacja w szkolnictwie wymaga zasadniczego zreformowania agend oświaty pozaszkolnej w Kuratorjach i Inspektoratach, przez całkowite zniesienie stanowisk instruktorów obwodowych, a natomiast zasilenie aparatu urzędowego oświaty pozaszkolnej na tych terenach, gdzie walka z analfabetyzmem powinna być jedyną dziedziną jego zainteresowań i konkretnych prac, podejmowanych przy pomocy specjalnych zespołów pracowników, bez nowego odwoływania się do dobrowolnych świadczeń i tak przeciążonego nauczycielstwa. Znajdą się też z pewnością dalsze oszczędności w wydatkach, pokrywanych z funduszów taksy administracyjnej, oraz w kredytach na godziny nadliczbowe dla szkół powszechnych, których część da się zamienić bez większej szkody dla skuteczności nauki w szkole, na etaty nauczycielskie.

Dziedziny powyższe, które przytoczyliśmy tylko przykładowo, nie wyczerpują oczywiście zagadnienia rewizji budżetu Ministerstwa Oświaty. Chcieliśmy wykazać jedynie, że są źródła, pozwalające na uruchomienie skromnej choćby na początek liczby etatów nauczycielskich i że trzeba szukać ich przedewszystkiem we własnym resorcie. Światły sternik resortu źródła te niewątpliwie znajdzie, jeżeli tylko nie ulegnie perswazjom tych, którzy tworzyli i podtrzymywali przez tyle lat fikcje i przerosty kosztem najbardziej zasadniczego i podstawowego zadania Ministerstwa Oświaty — *zapewnienia pełnej powszechności nauczania.*

Każdy Minister Oświaty w Polsce, który na tory właściwe pchnie to zagadnienie i zbliży Państwo nasze w tej dziedzinie do przeciętnego poziomu europejskiego, zasłuży się dobrze Państwu, inwestując kapitały w wychowanie idących pokoleń, oraz kładąc tem samem najmocniejsze podwaliny pod jego bezpieczeństwo, obronność i trwały, wszechstronny rozwój.

Warszawa, luty 1936 r.

DROGI I BEZDROŻA

Apostolstwo wyznania berlińsko-rasistycznego

Od szeregu miesięcy nasze wyższe uczelnie są w stanie wrzenia, celowo podsycanego przez takie organizacje polityczne typu anarchiczno-nacjonalistycznego, które świadomie i nader celowo prowadzą na tym terenie walkę o narzucenie Polsce swej kultury poprzez zdobycie umysłów, wyobraźni, woli młodego pokolenia polskiego. Jest to sprawa, którą trzeba bardzo serjo traktować. Nie można jej ani przykrywać listkami figowemi bagatelizowania kwestji „ławek żydowskich" w przepełnionych audytorjach, ani zamazywać obłudą sympatycznego pobłażania dla „naszej kochanej młodzieży", przy równoczesnem ubolewaniu nad jej niedojrzałością i lekkomyślnością, z jaką oddaje się miłemu skądinąd sportowi żydobijstwa. Fermenty na wyższych uczelniach przedstawiają w wyższym stopniu problem polityczny, aniżeli problem wychowawczy, są bowiem politycznie kierowane przez sztaby, złożone coprawda z ludzi młodych, ale świadomych tego, że odgrywają czynną rolę w naszem życiu społeczno - politycznem, że w określonym kierunku oddziaływują na rzeczywistość polską. Fakt, że młode odłamy naszego starego anarcho - nacjonalizmu (używam tego określenia, bo prosiła mnie jedna starsza pani, żeby zadużo nie pisać o „endekach") dysponują wciąż niesłabnącemi wpływami na rezerwy naszych warstw oświeconych, powołane do kontynuowania ich pracy nad rozwojem kultury polskiej, nie jest wcale pocieszający, ale nie uprawnia do pobłażania i do kwietystycznego bagatelizowania „manewrów" akademickich, a przeciwnie — zmusza żywe siły ideowe Polski teraźniejszej do wytężonej walki o dusze młodzieży, o ciągłość kultury polskiej, kultury Mickiewicza, Norwida i Piłsudskiego. Choćby ta, lub inna grupa, zmęczona, czy rozczarowana wycofała się z tej walki (myślimy w tej chwili o grupie t. zw. senjorów „Legjonu Młodych"), pole walki nie może pozostać puste.

W walce o przekonania, w walce o idee, nie może przechodzić do porządku dziennego nad atmosferą bezmyślności, którą oddychają masy naszej młodzieży, interesujące się tylko praktykami antysemickiemi. Jeszcze gorzej jednak, gdy zpoza tej sfery bezmyślności wyłania się strzępek pewnej idei, pewnej myśli. Bo jest to myśl cudza, świadcząca o przesiąkaniu naszego terenu nowinami religijnemi, napływającemi z Berlina, Monachjum, czy Norymbergji. Ponoć zjazd młodzieży podejrzanej legalności, który niedawno obradował w Krakowie, powziął uchwałę, żądającą zastosowania do studentów i profesorów „paragrafu aryjskiego". Nie wiadomo, coprawda, czy ci młodzieńcy zdają sobie dobrze sprawę, co to znaczy. Jeśli tak, to tem gorzej; bo w takim razie wyznanie berlińsko - rasistyczne znalazło w Polsce podatny teren do szerzenia swej misji. Nie chcieliśmy swego czasu brać chrześcijaństwa z Magdeburga i szukaliśmy Dąbrówki w innym kraju, ale widać, że minęły już czasy Mieszka I i płje się teraz „światopogląd nordyjski" pełnemi haustami z butelek, zaopatrzonych w oryginalne etykiety.

Pan Mackiewicz myli się. Ale zresztą nie o tem teraz mowa.

Antysemityzm, ten „socjalizm durniów", rozwinął się w Europie środkowej tylko dlatego, że obrońcy stanu posiadania warstw mieszczańskich nie znaleźli innego sposobu zahamowania rozwoju kultury socjalistycznej w masach ludowych. Podobnie w carskiej Rosji antysemityzm „czarnych sotni" był odczynnikiem na ruch wolnościowy, a u nas przed rokiem 1914 antysemityzm p. Sadzewicza odczynnikiem na akcję grup niepodległościowych. Nie możemy pozwolić na powtarzanie tego samego kawału w Polsce w roku 1936.

Kolekcja karykatur

Mieliśmy w Polsce tylko karykaturę demokracji i nie stać nas na powtarzanie eksperymentu „rewolucji faszystowskiej" w edycji Mussoliniego, czy też Hitlera, ponieważ faszyzm taki w wykonaniu naszych nacjonalistów stanowiłby tylko karykaturę obcych wzorów. Jeszcze gorzej jest jednak, kiedy grupy i grupki działaczy sanacyjnych porywają się na naśladowanie naszego nacjonalizmu. Wtedy powstaje karykatura karykatury hitleryzmu. Karykatura do kwadratu. Tacy poczciwcy sądzą, że znaleźli sposób na zahamowanie anarchonacjonalizmu w ciemnych masach drobnomieszczańskich i na pozyskanie tych mas dla swoich robótek. Ogromne złudzenie. Antysemityzm, taki bojowy nacjonalizm typu polskiego, stanowi uderzenie w kulturę, jako taką; jego demagogowie szermują na swój sposób hasłem „dołoj gramotnyje", wmawiając w swoją klientelę, że wszystko, co u nas jest kulturowo-twórcze (a tak że państwowo - twórcze), jest przesycone wpływami żydowskiemi; że „naród" w swoim pochodzie musi zniszczyć swoją państwowość i swoją kulturę. Grupy sanacyjne, które chciałyby wejść na taką drogę, muszą sobie zdawać sprawę, że nie starczy im tchu, aby dorównać kroku w tym obłąkańczym marszu.

Powinniby sobie tę sprawę dobrze przemyśleć pp. Filipowicz i Czechowicz, których Polska Partja Radykalna ze swym ubożuchnym „programem" nasunęła i „Robotnikowi" i „Gońcowi Warszawskiemu" zgodną myśl, że chodzi tu o pewną imitację formalnie nieistniejącego, ale faktycznie żywego i oddziaływającego na naszą rzeczywistość „obozu narodowo - radykalnego".

„Linja podziału" w społeczeństwie musi być tak wyznaczona, aby po jednej stronie i tylko po tej jednej, pozostało to wszystko, co w Polsce stanowi przedłużenie średniowiecza, saszczyzny i przeciwpowstańczej reakcji w dobie niewoli, cały obskurantyzm, rasizm, faszyzm krzywego zwierciadła i wschodnio - europejski kapitalizm. Po drugiej stronie muszą się skupić ci wszyscy, którzy chcą organizować masy społeczne w państwie i na płaszczyźnie kultury państwowej, wywodzącej się z rewolucyjnego romantyzmu.

Zacieranie tej linji prowadzi Polskę na linję ewolucji przez katastrofy, poczynając od tej najcięższej w płaszczyźnie państwowości i w płaszczyźnie kultury katastrofy, jaką byłoby opanowanie Polski przez grupy „anarchonacjonalistyczne".

NOSTROMO

Strusia polityka

Przykłady karygodnego zaniedbania ze strony czynników oficjalnie przełożonych nad młodzieżą pewnych poczynań grup politycznych, szkodliwych dla Państwa, które harcują na terenie akademickim, możnaby mnożyć. Wymienimy tylko jeden z nich.

Na uniwersytecie Józefa Piłsudskiego i pod protektoratem rektora tejże wszechnicy odbył się obchód jubileuszu „Bratniaka". Obchód ten przywodzi na pamięć szczytne dni, kiedy studenci - żołnierze, przejęci ideą Piłsudskiego, między „skryptem i karabinem" znajdowali jeszcze czas na rozbudowę swoich samopomocowych instytucyj.

Oczywiście tego dziś nie przypomniano; roztoczono natomiast zupełnie nieżenującą się propagandę roboty anarcho-nacjonalistycznej, której działacze, zupełnie już nie związani z terenem uniwersytetu, uzyskali pełną „veniam legendi" przy tej okazji. Nie brakło ani wspominków z maja 1926 „krwi przelanej w obronie praworządności", ani naświetlania spraw teraźniejszych. Nadużyto więc zaufania władz akademickich, i to im zresztą nie przynosi ujmy. Zadziwia jednak, że władze nie wyciągnęły z tego faktu absolutnie żadnych konsekwencyj. Niedawno w tych samych murach gościł Prezydent R. P i padły tam piękne słowa o związkach, jakie wszechnicę warszawską połączyły z postacią Wielkiego Marszałka. Okazuje się, że to były tylko słowa... „Uniwersytet Józefa Piłsudskiego" niezupełnie jest jeszcze... uniwersytetem Marszałka.

Po obchodzie „Bratniaka" odezwała się wprawdzie „Gazeta Polska" z ostrą krytyką władz akademickich. Ale zainteresowanie szermierzy „interesu całości" dla tej bardzo cząstkowej sprawy było tak nieoczekiwane („Gazeta Polska" z zasady nie widzi narastającego w Polsce rasizmu), że nikt nie wziął go na serjo. „Podjeżdżają pp. Kościałkowskiego i Święłosławskiego" — powiedział czytelnik, przyzwyczajony już do naszych walk podjazdowych i obojętnie odłożył gazetę.

Otóż niema gorszej metody odnoszenia się do rzeczywistości, jak uprawianie strusiej polityki... chowania głowy w piasek wobec nadciągającego przeciwnika. Faktem jest natomiast, że przeciwnik nadciąga, że idzie w Polsce fala reakcji kulturalnej i społecznej, dysponująca zastępami młodzieży, której starają się zagrodzić drogę tylko drobne grupki. Jak twierdzi p. Mackiewicz są to grupki, ulegające wpływom komunistycznym lub wręcz pozyskane dla „kominternu".

NOTATNIK GOSPODARCZY

Hasło mocnego skarbu

Właściwie mówiąc nikt dobrze nie wie, w jakiej sytuacji zastał Skarb Państwa dzisiejszy jego włodarz przy ulicy Rymarskiej. Można przypuszczać, że sytuacja ta przedstawiała się gorzej aniżeli sądzono o niej z oficjalnych i tak już dostatecznie niepokojących sprawozdań, wykazujących przeciętnie 30 milj. miesięcznego deficytu, skoro p. Wicepremjer zaraz w pierwszych dniach swego urzędowania na zagadnienie przywrócenia równowagi budżetowej położył tak mocny nacisk.

O ile znamy p. Eugenjusza Kwiatkowskiego, nie należy on do ludzi, którym doktryna, nawet tak bezsporna i słuszna, jak doktryna równowagi budżetu, przysłaniałaby życie. Lubił on wszak podkreślać, że polityka gospodarcza kraju zerwać powinna zarówno z chodzeniem na szczudłach, jak i z czołganiem się na czworakach. Był apostołem poglądu, że chodzić winniśmy na własnych nogach. Jak mówią, decydując się na wejście do Rządu, p. min. Kwiatkowski przywiózł ponoć z sobą gruby zeszyt, w którym wypunktowany miał cały program naprawy gospodarczej, oparty właśnie na tej zasadzie chodzenia na własnych nogach.

Cóż więc stało się, że zanim przystąpił do realizacji tego programu, cały swój wysiłek poświęcił w pierwszych miesiącach Skarbowi Państwa? Cóż się stało, że wbrew swym tak często głoszonym poglądom o konieczności odciążeń życia gospodarczego i przywróceniu mu rentowności, jako drogi do pobudzenia przedsiębiorczości prywatnej, p. wicepremjer poszedł na dalsze obciążenia podatkowe, na głębokie cięcia w emeryturach, na ostre oszczędności we wszystkich niemal działach budżetu? Można było tylko przypuszczać, że stało się tak dlatego, że zastał Skarb Państwa w sytuacji gorszej, aniżeli spodziewał się.

Dziś już jest rzeczą wiadomą, że na jesieni r. ub. szybkiemi krokami szliśmy do katastrofy. Odpływ 40 milj. zł. walut z Banku Polskiego w październiku 1935 r., o którym społeczeństwo w dostatecznym stopniu nie było poinformowane, wydawał się być — gdyby następnie niezostał zahamowany — zwiastunem nadciągającej burzy. Mocne fundamenty polityki gospodarczej i finansowej, założone w najcięższym okresie kryzysu przez premjera Prystora, poczęły kruszeć w latach następnych i to już mniej trudnych.

W tych warunkach istotnie znowu należało zaczynać od początku, to jest od postawienia tezy, że równo-

waga w gospodarce państwowej musi być przywrócona i, że bez zrealizowania hasła silnego Skarbu trudno jest mówić o jakimkolwiek planie zwalczenia trudności gospodarczych. Równocześnie nie można było tezy tej realizować środkami zbyt radykalnemi.

Na rok 1936/37 Rząd ograniczył się do redukcji budżetu tylko na kwotę około 50 milj. zł., zaś dla zrównoważenia budżetu podniósł wpłaty przedsiębiorstw kolei i poczty, a wydatki inwestycyjne tych przedsiębiorstw przerzucił na operacje kredytowe. Głębsze, bardziej radykalne cięcia, nie mogłyby pozostać bez wysoce ujemnych konsekwencyj dla obronności państwa, dla oświaty, czy wreszcie dla życia gospodarczego przez skasowanie niezbędnych dziś pomocy państwowych. Walka z narosłym deficytem powinna być rozłożona na dłuższy okres czasu, trudno bowiem bez poważnych konsekwencyj zlikwidować w jeden rok to, co powstało w lat kilka. Będziemy mogli powiedzieć, że p. Minister Skarbu dokaże bardzo wiele, jeśli w r. 1936/37 zdoła wykonać budżet na przyjętym w Komisji Sejmowej poziomie 2.221,2 milj. zł., bez deficytu, przy pokryciu 90 milj. inwestycyj kolei i poczty z rynku kredytowego.

Jeżeli to zostanie wykonane, będziemy mogli powiedzieć, że odrobiliśmy poważną część błędów przeszłości i że na drodze realizacji hasła silnego Skarbu posunęliśmy się poważnie naprzód.

Narazie komunikaty z placu boju z deficytem brzmią pomyślnie. W listopadzie 1935 r. deficyt wynosił jeszcze 29 milj. zł. W grudniu, na skutek akcji Rządu spadł on do 11 milj., a w styczniu — jak głosi ostatni komunikat prasowy — do 9,5 milj. zł. Jednocześnie nastąpiła wyraźna poprawa sytuacji w Banku Polskim, wyrażająca się w zahamowaniu odpływu walut. Jako rezultat krótkiego okresu czasu, wiadomości te brzmią niewątpliwie wysoce zadowalająco.

J. K.

Z bezdroży na drogę?

Nasz samorząd terytorjalny doczekał się niedawno zasadniczej reformy organizacyjnej i ujednolicenia: Obiecywano wtedy, że zreorganizowany i pokrzepiony mocną ideą przewodnią, nabierze rumieńców życia i odegra wielką rolę w skupieniu inicjatywy społecznej, rozproszonej dotychczas i zdemontowanej. Zapewniano o „apolityczności" nowego samorządu. Nie wierzyliśmy w to bardzo, bo tak bez reszty nie da się przecież oddzielić działalności społecznej i gospodarczej od polityki. Przestaliśmy potem zdecydowanie wierzyć, gdy samorząd terytorjalny wciągnięto w orbitę wyborów parlamentarnych. Ale niestety przestaliśmy też wierzyć w odbudowanie inicjatywy społecznej za pośrednictwem nowego samorządu terytorjalnego. Nie czyniono niczego, by tę inicjatywę wydobyć z głębokiej śpiączki.

Ostatnio wniósł rząd pod obrady Komisji administracyjno - samorządowej Sejmu szereg projektów ustaw o służbie samorządowej. Dalsze projekty ustaw samorządowych są podobno w przygotowaniu. Nie wchodząc narazie w ocenę projektów, która wymaga osobnego miejsca, notujemy charakterystyczne wywody ministra Raczkiewicza, który zaprezentował ustawy komisji sejmowej. Stosunek do służby samorządowej jest bowiem ściśle zespolony z ideą przewodnią, jaką nadaje się samorządowi jako instytucji. „Rząd należycie docenia — mówił p. minister — znaczenie i rolę pracowników w życiu samorządowem. Widzi w nich nietylko niezbędny współczynnik sprawnej działalności związków samorządowych i dotychczasowego wielkiego ich dorobku kulturalnego i gospodarczego, ale widzi też wśród rozrzuconej na różnych obszarach Państwa kilkudziesięciotysięcznej rzeszy, zwłaszcza na terenie wsi, wielu współorganizatorów życia

W swoich „Strzępach Meldunków" utrwalił generał Sławoj-Składpolitycznego i pionierów idei społeczno-wychowawczych samorządu".

A więc jednak... ma być samorząd przedewszystkiem siedliskiem inicjatywy społecznej i szkołą obywatelską, ma dać ze siebie „współorganizatorów życia politycznego" i „pionierów idei społeczno - wychowawczych". W istocie na tem polega jego sens ideowy. Równie dobitnie akcentuje p. minister Raczkiewicz ten punkt widzenia, dając wyraz swojemu poglądowi na warunki pracy służby samorządowej. „Pracownik który zawodowo poświęca się służbie publicznej, jaką jest służba samorządowa, powinien mieć zapewnione warunki bytu, możliwie największe poczucie jutra, gdyż od zapewnienia mu takich warunków zależy wydajna i odpowiedzialna praca".

Trzeba wyjść z bezdroży, na których samorząd błąka się dotąd jako blady cień administracji państwowej.

Z TYGODNIA

Osiem wskazań ministra Kwiatkowskiego

W czasie obrad sejmowej komowej komisji budżetowej przewinęmisji budżetowej przewinęło się sporo interesujących momentów. Do najciekawszych należy niewątpliwie przemówienie wicepremjera E. Kwiatkowskiego, wygłoszone w dniu 3 lutego r. b. P. wicepremjer podkreślił mocno, że wyjście z opresyj gospodarczych dokonać się może jedynie przy liczeniu na własne siły i w oparciu o nie. Hasło: własnemi siłami stało się więc zasadą kierowniczą w resorcie gospodarczym. Stało się tak słusznie, bo jeżeli kiedykolwiek łudził się kto rozwiązaniem kryzysu w płaszczyźnie środków międzynarodowych, i w tem upatrywał usprawiedliwienie dla polityki wyczekiwania, to obecnie chyba, po zwróceniu się szeregu przodujących państw do wewnątrz i odgrodzeniu chińskim murem, złudzeń tych być już nie może. Kierownicza zasada polityki gospodarczej rządu znalazła dobitny wyraz w końcowych ośmiu wskazaniach gospodarczych p. wicepremjera. Zwiększenie zdolności nabywczej wsi, uczynienie z naszych kresów wschodnich rynku zbytu, planowanie inwestycyj, reforma naszej ekspansji handlowej zagranicznej — to istotnie najpilniejsze zadania poza temi, które, jak oszczędność w szafowaniu groszem publicznym, stały się trwałą wartością rządów pomajowych.

Dać oddech oświacie powszechnej

kowski jedną z trosk Wielkiego Marszałka, ujętą w prostych i wiele mówiących słowach: „mnie boli mój budżet i ministra Czerwińskiego, gdzie trzysta trzydzieści tysięcy dzieci zostaje bez nauki".

Obrady Komisji budżetowej Sejmu nad preliminarzem budżetu na rok 1936/37 wykazują pogłębiające się zrozumienie dla pogłębiających się potrzeb tych właśnie dwu, wyróżnionych przez Marszałka, resortów. W debatach nad budżetem Ministerstwa Spraw Wojskowych panował jednomyślny nastrój, niezakłócony ku powszechnemu zadowoleniu, nawet deklaracjami posłów mniejszościowych. Budżet Ministerstwa Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego został ostatecznie zwiększony o 7.800.000 zł. Niewielka to wprawdzie podwyżka, zwłaszcza gdy się zważy, że lwią jej część pochłonie automatyczny awans nauczycieli, na nowe etaty zaś pozostanie jedynie około 3.000.000 zł., przedewszystkiem zaś, gdy się przypomni, że liczba dzieci bez nauki wzrosła dziś trzykrotnie w stosunku do czasów, o których mówił Marszałek. Podwyżka dotyczy prawie wyłącznie wydatków osobowych. Na wydatki rzeczowe (budownictwo szkół) pozostało z niej tylko 50.000 zł. Pamiętać jednak należy, że jeżeli gdzie, to właśnie w szkolnictwie zwiększenie wydatków osobowych jest zupełnie usprawiedliwione. Ustawy uposażeniowe dotknęły bodaj najboleśniej szeroki ogół nauczycielski, nie mówiąc już o przeciążeniu nauczycieli pracą i palącej potrzebie otworzenia nowych etatów.

Do resortu oświaty powinien przeniknąć nowy duch: mniej eksperymentów w tworzeniu, więcej oświaty dla szerokich mas.

Niepowściągliwy język p. Schachta

Napastliwe przemówienie dr. Hjalmara Schachta, obecnego ministra dniu 28 stycznia 1936 w Julienhütte na Śląsku Opolskim spotkało się z należytą odprawą w polskiej opinji publicznej. Zareagowała ostro prasa, a Sejm Śląski przypieczętował stanowczą deklaracją przestrogę w stosunku do Niemiec.

O niepowściągliwości języka dr. Schachta wiemy doskonale. Dwukrotnie już mieliśmy sposobność zetknąć się z jego pasją rewizjonistyczną: raz w r. 1926, kiedy uderzył odrazu w dwa czułe punkty: w Pomorze Polskie i Górny Śląsk, zapewniając zresztą, że i Poznań jest w gruncie rzeczy niemiecki (!), powtórnie zaś w r. 1929 — przy sposobności konferencji rzeczoznawców reparacyjnych w Paryżu. Obydwa te niefortunne występy wywołały w Polsce prawdziwą burzę protestów. Ostatnie wystąpienie dr. Schachta było wprawdzie odrobinę ostrożniejsze w formie, ma jednak dwie okoliczności obciążające: było wygłoszone w dobie paktu z stycznia 1934, który wiąże i zobowiązuje obydwie strony, powtóre zaś przemawiał dr. Schacht w charakterze urzędowym aktualnie urzędującego ministra gospodarki Rzeszy. Zagalopowanie się dr. Schachta jest więc oczywiste. Tem silniej trzeba protestować przeciwko tego rodzaju nieodpowiednim wystąpieniom. Troska o normalne stosunki sąsiedzkie polsko - niemieckie nie może igrać z poczuciem godności narodowej.

Trzeba jeszcze podkreślić, że przemówienie w Julienhütte na Śląsku Opolskim nie jest jedynem wystąpieniem dr. Schachta, sprzecznem z duchem paktu ze stycznia 1934 r. za czasów jego obowiązywania. Można nawet twierdzić, że wszystkie dotychczasowe poważniejsze momenty zapalne ze strony Rzeszy, jakie zawisły nad normalizacją stosunków polsko-niemieckich, związane są bądź ściśle z osobą Schachta, bądź też z jego resortem. Przypomnijmy sobie tylko zaognienie w stosunkach polsko-gdańskich na tle zarządzeń dewizowych i rolę Schachta w tej sprawie. Zwróćmy dalej uwagę na wstrzymanie wypłat Rzeszy Niemieckiej za tranzyt przez Pomorze Polskie. Zapytajmy wreszcie, kto piętrzył trudności w rokowaniach handlowych polsko-niemieckich. Dr. Schacht zdaje się z satysfakcją i przekorą torpedować politykę porozumienia.

NOTATNIK ZAGRANICZNY

KONGRES PRYWATNY, jak Berliner Tageblatt nazwał złośliwie londyńskie i paryskie konferencje głów koronowanych, szefów rządu, ministrów spraw zagranicznych, ambasadorów i posłów, marszałków i generałów kilkunastu państw europejskich, nie tylko nie dał pozytywnych rezultatów, lub choćby tylko wyjaśnienia sytuacji, lecz przeciwnie powiększył jeszcze konfuzję, panującą na punkcie stabilizacji stosunków międzynarodowych, tudzież środków mających doprowadzić do osiągnięcia tego celu. Maksyma q u i t r o p e m b r a s s e m a l é t r e i n t została raz jeszcze potwierdzona. Dyskusja pele mele nad różnemi paktami — wschodnim, bałkańskim, naddunajskim, śródziemnomorskim, zachodnim, lotniczym, przyczyniła się nie do wyrównania, lecz do podkreślenia istniejących przeciwieństw. Należy przytem zaznaczyć, że najczynniejsza w czasie narad londyńskich i paryskich dyplomacja, mianowicie francuska, zupełnie zdaje się zatraciła klasyczne zalety umysłowości swego narodu — jasność i logikę myśli. Niepodobna bowiem wytłumaczyć inaczej niefortunnych prób wciągnięcia Bułgarji do Związku Bałkańskiego, który powstał właśnie dla utrzymania terytorjalnego i politycznego status quo na Bałkanach, jak najbardziej sprzecznego z najżywotniejszemi interesami narodu i państwa bułgarskiego. A cóż dopiero powiedzieć o planie zbratania „austrofaszystów", których racją bytu jest restauracja monarchji habsburskiej, z małą ententą, dla której ta restauracja stanowi casus belli. Brakowało tylko Rosji sowieckiej w charakterze gwarantki régime'u pogromców proletarjatu austrjackiego. Nie lepiej przedstawia się inny pomysł ministra Flandina, mianowicie pakt śródziemnomorski przy udziale Włoch (!). Obecny pan na Quai d'Orsay spodziewał się ułagodzić przez to posunięcie opozycję w łonie własnego stronnictwa— Alliance républicaine démocratique — przeciw udziałowi pana Flandina w gabinecie, który przygotowuje zwycięstwo frontu ludowego przy wyborach do izby deputowanych na wiosnę tego roku. Jeżeli p. Flandinowi uda się ten cel osiągnąć, to w każdym razie za cenę skompromitowania siebie i Francji wobec Anglji; p. Eden oświadczył bez ogródek swemu francuskiemu koledze, że W. Brytanja nie myśli zawierać żadnego paktu z państwem, które pogwałciło Covenant, i to nietylko teraz, ale nawet po likwidacji konfliktu abisyńskiego.

ZBLIŻENIE ANGIELSKO - SOWIECKIE wyłania się z całej gadaniny londyńsko - paryskiej jako jedyna kombinacja realna i będąca w pełnym toku realizacji. Długotrwały pobyt marszałka Tuchaczewskiego w stolicy W. Brytanji i lista osób, z którymi się tam zetknął, obejmująca poza ministrami resortów obrony państwa, także kierowniczych fachowców, jak szef imperjalnego sztabu generalnego i pierwszy lord morski, dowodzi, że kooperacja pomiędzy Zjednoczonem Królestwem, a ZSRR jest już przesądzona pod względem politycznym i że weszła w stadjum opracowania strony techniczno -wojskowej. Oczywiście ta kooperacja ma charakter wybitnie obronny. Jakie wspólne niebezpieczeństwo zagraża Sowietom i W. Brytanji, to powiedział bez ogródek swoim wyborcom b. sekretarz stanu dla spraw zagranicznych, sir Samuel Hoare. Chodzi w pierwszym rzędzie o Japonję, w drugim o Niemcy. Akcja japońska, zmierzająca do podboju Chin czyni wybuch konfliktu pomiędzy Cesarstwem Wschodzącego Słońca, a obu mocarstwami anglosaskiemi nieuniknionym. Jedynem mocarstwem europejskiem, które może skutecznie współdziałać z Anglją i ze Stanami Zjednoczonemi przeciw Japonji na wypadek walnej rozprawy na Pacyfiku, jest ZSSR. To samo państwo, rozporządzając dziś największą flotą powietrzną na świecie, jest uważane przez Anglików za skuteczną przeciwwagę Rzeszy Niemieckiej, której zbrojenia w powietrzu takssamo nie dają spać brytyjskim mężom stanu, jak przed wojną zbrojenia niemieckie na morzu.

KREDYT ANGIELSKI DLA FRANCJI w wysokości 40 — 50 miljonów funtów jest w zasadzie przesądzony, choć szczegóły techniczne są jeszcze przedmiotem dyskusji, w której największe trudności robi, rzecz charakterystyczna — Bank Francji, występujący oficjalnie w roli stróża g o l d s t a n d a r d u i ortodoksji finansowej, a w rzeczywistości broniący interesów wielkiej burżuazji, zagrożonych w razie zwycięstwa lewicy przy tegorocznych wyborach do izby deputowanych. Wskutek kredytu angielskiego sfery wielkokapitalistyczne Francji straciły możność zorganizowania przed wyborami paniki finansowej, która byłaby najsilniejszym orężem przeciw lewicy ze względu na nastroje mas drobnomieszczańskich, tworzących większość ciała wyborczego. Troska o los franka i co za tem idzie o własne oszczędności mogłaby skłonić te masy do głosowania za t. zw. stronnictwami narodowemi mimo, że w warunkach normalnych drobna burżuazja stanowi domenę partji radykalnej, zblokowanej obecnie we Francie Ludowym z socjalistami i komunistami. Jeżeli konserwatywny rząd W. Brytanji popiera francuską lewicę, to dlatego, że ta ostatnia solidaryzuje się w zupełności z polityką międzynarodową Anglji, podczas gdy francuskie partje centrowe i prawicowe sympatyzują z Mussolinim, a nie chcą nic wiedzieć o nowem trójporozumieniu angielsko - francusko - rosyjskiem, do którego coraz wyraźniej zmierza dyplomacja Downing - Street za rządów p. Edena.

RUCH NIEPODLEGŁOŚCIOWY W EGIPCIE odniósł nowy, wielki sukces. Po przywróceniu konstytucji roku 1923 wbrew opinji Wysokiego Komisarza Jego Brytyjskiej Mości — fakt bezprzykładny w dziejach Egiptu pod okupacją brytyjską t. j. od r. 1882 — przyszła zgoda formalna gabinetu londyńskiego na podjęcie rokowań w sprawie całokształtu stosunków anglo - egipskich. W delegacji egipskiej, mającej prowadzić te rokowania, są reprezentowane wszystkie ważniejsze ugrupowania polityczne Egiptu, większość jednak absolutną ma stronnictwo niepodległościowe Wafd. Nie ulega żadnej wątpliwości, że zmiana stanowiska W. Brytanji — za czasów, gdy Sir Samuel Hoare kierował polityką zewnętrzną Anglji, rząd angielski nie chciał nic słyszeć o układach mających Egiptowi zapewnić prawdziwą, a nietylko nominalną niepodległość— była następstwem zaostrzającego się położenia międzynarodowego w związku z fiaskiem prób likwidacji konfliktu abisyńskiego. Pertraktacje anglo - egipskie z pewnością nie potoczą się gładko. Kwestja garnizonów angielskich na terytorjum egipskiem, która w czasie ostatnich negocjacyj, prowadzonych w r. 1930, a więc w czasie pokojowym została rozwiązana na zasadzie ewakuacji całego Egiptu z wyjątkiem strefy Kanału Sueskiego, będzie dziś przedstawiała daleko większe trudności, gdy Włochy grożą inwazją od strony Libji i Sudanu. Egipcjanie są wprawdzie gotowi zawrzeć sojusz wojskowy z W. Brytanją i wystawić armję własną, zdolną przeciwstawić się atakowi włoskiemu, ale takie rozwiązanie mieści w sobie niebezpieczeństwo dla panowania brytyjskiego nad kanałem Suezkim. Egipt mając swobodę zorganizowania swej armji na podstawie powszechnej służby wojskowej, mógłby z łatwością wystawić miljon żołnierzy i przegnać Anglików ze strefy kanałowej, jak to swego czasu zrobił twórca nowożytnego Egiptu, Mahomed Ali. Także sprawa Sudanu, będącego formalnie od r. 1899 condominium anglo - egipskiem, a faktycznie rządzonego przez Anglików z wyłączeniem jakiejkolwiek ingerencji Egiptu, będzie ogromnie utrudniała osiągnięcie kompromisu. Pomiędzy postulatami Egiptu, idącemi w kierunku przywrócenia pełnej suwerenności egipskiej nad Sudanem, jaka istniała przed powstaniem Mahdiego, a stanowiskiem W. Brytanji, która domaga się wyrzeczenia się Sudanu przez Egipt, a co najwyżej byłaby gotowa na utrzymanie obecnego stanu rzeczy, istnieje prawdziwa przepaść. Niewątpliwie na przebiegu i rezultatach pertraktacyj zaważy jak najsilniej dalszy rozwój wypadków na terenie Afryki i morza Śródziemnego.

Verax.

PRZEGLĄD PRASY

Tranzyt na kredyt

Energiczne wystąpienie polskiego ministerstwa komunikacji wobec zamrożenia należności za tranzyt między Rzeszą a Prusami Wschodniemi — spotkało się w całej prasie polskiej z wyrazami uznania. Opinja polska, jednomyślnie poparła decyzję czynników rządowych i domaga się stanowczej i nieustępliwej postawy wobec prób dalszego przewlekania sprawy.

„Kurjer Poranny" (nr. 39) pisze: „ustać musi wreszcie ta gorsząca anomalja ekonomiczna, że kraj finansowo wyniszczony, kraj dokonywujący heroicznych wysiłków, aby utrzymać równowagę swych finansów publicznych, kraj utrzymujący wegetacyjny budżet, pozbawia się swych nielicznych kapitałów obrotowych na rzecz państwa, realizującego gigantyczne plany inwestycyjne i uzbrojenia kosztem miljardów złotych."

Pewne zdziwienie wyrażają niektóre pisma (**„Robotnik"**, **„Dziennik Bydgoski"**) z powodu ostatniego zdania oficjalnego komunikatu Pat-a, mówiącego, że „dążeniem Rządu polskiego będzie zarówno pełne zabezpieczenie interesów polskich kolei państwowych, jak i uwzględnienie, w miarę możliwości, sytuacji finansowej Rzeszy". W wypowiedzi tej **„Dziennik Bydgoski"** upatruje dowód miękkości i tendencyj kompromisowych rządu polskiego.

„Dziennik Wileński" wiąże sprawę wstrzymania wypłaty należności za tranzyt z niedawną rocznicą paktu polsko-niemieckiego, by spytać:

„Jak wam się podoba taka „przyjaźń", w której jeden z przyjaciół nie oddaje należnych drugiemu pieniędzy, a ponadto zabiera jego własność w domach i kapitałach, drugi zaś... uznaje doniosłość i korzyści zawartej przed 2 laty przyjaźni?"

Prasa niemiecka ogranicza się do wyrazów ubolewania, że sprawa została w taki sposób przez polskie czynniki postawiona, przyczem na uwagę zasługuje prowokacyjny głos **„Volkischer Beobachter"** (7. II.), oficjalnego organu NSDAP, nawiązujący jako wynik utworzenia korytarzowego":

„tranzyt pomiędzy Prusami wschodniemi a Rzeszą został uregulowany konwencją paryską z kwietnia 1921, jako wynik utworzenia korytarza(!). Nie jest rzeczą dziwną, że z wielu względów dziś przestarzałe rozwiązanie obciążone jest temi samemi wadami, które dotyczą utworzenia korytarza(!)..."

„Ciężka sytuacja skarbu polskiego nie jest oczywiście i po niemieckiej strony zapoznawana. Mimo to powstaje pytanie, czy nie było innej możliwości oczyszczenia powstałych trudności tranzytowych, zwłaszcza gdy się zważy na fakt, że także Niemcy mają w stosunku do Polski do podniesienia różne oddawna nieuregulowane pretensje".

Te bajki o niemieckich wierzytelnościach w Polsce nie są odosobnione. Powtarza je część prasy niemieckiej, między innemi „Berliner Tageblatt".

Własna pieczeń p. Cata

Zupełnie niespodziewanie w „leśny dramat", absorbujący ciekawość zwolenników sensacyj politycznych, wmieszał się głos p. Cata-Mackiewicza, który korzysta z okazji, by przy roznieconym ogniu upiec własną pieczeń... osobistych czy grupowych porachunków.

„Słowo" (nr. 37) atakuje gwałtownie Polską Agencję Telegraficzną za to, że faworyzuje rząd, podając przemówienia ministrów in extenso, podczas gdy mowy posłów „zbywa kilku wierszami". Skarży się rzewnie, że „mowy min. Kwiatkowskiego są nadawane przez radjo i przez Pat-a w całości, natomiast Pat nam nadał tylko w kilku słowach przemówienie posła Kozickiego..." (Chodzi prawdopodobnie o przemówienie w sali, nie o historyczną wypowiedź kuluarową.)

P. Cat oburza się dalej, że list marsz. Cara został w komunikatach Pat-a skrócony — i tu rzuca już cięższym kamieniem... niezupełnie pod adresem Pat-a:

„...jeśli winimy Pat-a, to w duchu przypuszczamy jednak, że redakcja P. A. T. składająca się z wytrawnych dziennikarzy, nigdyby sama nie skracała dokumentu tak dużej aktualnie politycznie wagi, co ten list p. marszałka, bez wyraźnej instrukcji ze strony rządu."

A dalej pytanie:

„czy marszałek sejmu nie jest elementem stałym na pięcioletni okres według Konstytucji 23 kwietnia, gdy rząd jest elementem zmiennym?"

Cytaty te w zestawieniu z gwałtownemi wystąpieniami w obronie autorytetu sejmu (por. poprzednie numery „Słowa") pasują p. Cata na zaprzysiężonego adwokata „gnębionego" parlamentu. Słusznie dziwi się **„Robotnik"** (nr. 47), skąd się bierze u. p. Cata ta „toga parlamentarna" i dramatyczne wołania w rodzaju: „nie podpiłowywać gałęzi, na której się siedzi".

Dobrze przynajmniej, że dyskusje tego rodzaju przypadły właśnie na czas karnawałowy. W okresie maskaradowym tego rodzaju wystąpienia są niewątpliwie bardziej na miejscu, aniżeli w jakimkolwiek innym.

Kłopoty prof. Jeze

Demonstracje prawicowej młodzieży francuskiej przeciw prof. Jeze znalazły w Polsce oddźwięk tylko w suchych komunikatach Pat-a o przebiegu awantur. Ostatnie dopiero dni przyniosły w tej sprawie dwa głosy — jakże zasadniczo różne!

W **„Kurjerze Porannym"** (9. II., nr. 40) Konstanty Symonolewicz zajmuje się „winą" prof. Jeze od strony obserwowanych przemian w światopoglądzie młodzieży, dla której dzisiaj „kwestja racji, prawa, sprawiedliwości nie gra żadnej roli a przekonywującym argumentem jest tylko siła i solidarność rasowa".

Autor przypomina jednomyślne stanowisko młodzieży wszystkich krajów wobec wojny angielsko-boerskiej na początku naszego stulecia.

„... opinja publiczna była całkowicie po stronie boerów, a awangardę stanowiła młodzież. Chodziło bowiem o elementarne prawa ludzkie, o gwałt, dokonywany przez silniejszego nad słabszym, o niesprawiedliwość dziejową, przeciwko której zawsze protestowały młode serca.

Dowodem słuszności tezy p. Symonolewicza o zasadniczem przewartościowaniu pojęć i walorów moralnych — jest artykuł zamieszczony w **„Dzienniku Wileńskim"** (8. II., nr. 38), zawierający bezwzględne potępienie prof. Jeze i entuzjastyczną obronę demonstrantów

WŚRÓD KSIĄŻEK

Jan Wiktor: Orka na ugorze. Powieść. Wyd. Książnica Atlas. Warszawa — Lwów. 1936 r. str. 349.

Wieś podhalańska w „Orce na ugorze" przedstawiona jest bez osłonek, bez literackich koturnów i stanowi ponury obraz nędzy duchowej i materjalnej górali, których radzi jeszcze dzisiaj oglądamy przez pryzmat regjonalnego romantyzmu „Na skalnem Podhalu" i t. p. Nędza materjalna jest tu naturalną przebudową złych instynktów i namiętności, występujących w atmosferze braku elementarnych warunków bytowania z tem większą jaskrawością barw i plastyką wyrazu. Wprawdzie przepych tatrzańskiej przyrody, zdrowie i piękno zimowego krajobrazu i u Wiktora mają swoją wymowę i dają czytelnikowi cenne chwile duchowego odprężenia i potrzebny ozon dla głębszego oddechu po przytłaczających wyziewach dusznej chłopskiej chaty, ale groźna, naga prawda rozpaczliwej nędzy dominuje do końca. W powodzi zła, przesądów, głupoty, nieokiełznanych namiętności i ponurnego nieszczęścia, toną zda się bez ratunku nikłe reprezentowane pierwiastki światła, dobra i cnoty. Przez analogję do orki na ugorze skąpej, niewdzięcznej, kamienistej gleby tatrzańskiej, autor ukazuje nam pracę i zmaganie się, ze złem otoczenia, szkoły, ściśle mówiąc — jedynej, obdarzonej iskrą bożą i rozumiejącej swoją rolę, nauczycielki. Bo i ta wiejska szkoła z biurokratyzmem administracji i nieprzetrawionemi nowinkami instruktorów, z tuzinkowemi charakterami i małostkową rywalizacją nauczycielstwa, ma więcej cieni, niż światła.

Ale owa „pani" ze szkoły z powodzeniem dźwiga autorytet całej instytucji nazewnątrz i ogniskuje w swej osobie całe słońce skąpo rozsiane na kartach powieści.

Bardzo niewielu, bo tylko dwóch, ma owa „pani" ze szkoły szczerych wyznawców i wielbicieli. Jeden to Alojz Malinowski, uczeń, chłopiec żywy, nieopanowany, sprawiający nauczycielce wiele kłopotu, ale obdarzony sercem i głową. Drugi — inwalida wojenny, stary góral oczytany i niegłupi, zbyt może kategoryczny w swem filozoficznem zacięciu, raczej mędrkujący, niż dorzeczny, ale szczerze do nauczycielki przywiązany. Jest jeszcze matka Alojza, sparaliżowana od lat przez „zły urok", ciężar nad siły dla swych synów niedorostków, imponująca pogodą ducha w cierpieniu i piękną macierzyńską miłością dla synów. Z niej to niewątpliwie dziedziczy Alojz moc i piękne rysy swego charakteru.

Cała reszta mieszkańców zapadłej, lecz ludnej wsi podhalańskiej to gluchy, tępy żywioł; stosunek ich do świata i ludzi najlepiej wypowiada się w postaci Biela, dyszącego djaboliczną zemstą do żony i synów, którzy z wyroku sądowego pozbawili go chaty i skrawka pola. Nawet Chrystus z górskiej kapliczki, gdzie Biel zamiast się kajać, zanosi modły o pomoc w dokonaniu najokrutniejszej zemsty, nie ma zwykłej dobroci i miłosierdzia, cierpienia i ofiary w swej postaci, lecz tchnie zaciętością i uporem.

Oto gleba dla siejby zdrowego ziarna oświaty przez nauczycielkę.

Jan Wiktor daje w swej powieści szereg postaci rysowanych mocno, wyraziście, przerastających przeciętność. Autor jest mistrzem w nader plastycznem malowaniu stanów ducha, rzeźbieniu obrazów przyrody; słowo i zdanie stają się podatną farbą i gliną w ręku artysty. Wprawdzie stany psychicznego napięcia, podobnie jak obrazy przyrody powtarzają się, wydłużają niekiedy zbędnie całą powieść, ale nie nużą dzięki niezwykłej żywości barw i konturów. Wszystko w „Orce na ugorze" pulsuje, żyje, skrzy się kolorami i piętrzy rzeźbą.

Powieść Jana Wiktora stanowi poważną pozycję w literaturze pięknej, ale ma również i głośną wymowę swoją, jako zjawisko społeczne. Autor bije w dzwon alarmu w dobie kryzysu i kurczenia się ekspansji naszej kultury, w chwili, gdy nieubłagane cyfry zwiastują wzrastającą klęskę analfabetyzmu, wielkim głosem woła, że tu, na wsi polskiej źle się dzieje.

„Orka na ugorze" mówi czytelnikowi, że owa „pani" ze szkoły nie udźwignie na swych wątłych barkach złożonego na nią ciężaru, że trzeba jej dać pomoc przez podniesienie dobrobytu wsi i lepszą organizację szkolnej pracy. Nie chodzi tu o starych, dożywających swego wieku przedwojennych ludzi, i nie o tych, co walczyli o Polskę i zdążyli zgorzknieć już i wyjałowieć, ale o nowinę, o młodzież wiejską, garnącą się, jak Alojz Malinowski, do szkoły, do sportów, do zdrowia i światła, do Polski, którą żywemi dłońmi obejmuje i nie puści.

—wt—

Juljan Wołoszynowski: Było tak. Książnica - Atlas. Lwów — Warszawa, 1936 r. str. 302. Okładka Iwo Galla.

„Było tak" — w Polsce, kiedy się kształtowała jako państwo i w dalszym rozwoju historycznym, w latach jej mocy i upadków aż do odrodzenia państwowego i chwili bieżącej. Czy tak było istotnie, nie będziemy się spierać, nie jest bowiem książka Wołoszynowskiego historją, ani dziełem naukowem, lecz należy do literatury pięknej i osobowość autora zająć w niej musi należne jej miejsce. „Było tak", jak dzieje Polski widzi, czuje i rozumie autor. Jest to raczej epos, opiewający w szeregu rapsodów dzieło polskich królów i pierwszych w państwie mężów, albo o polskiej przeszłości duma, dla której nie wymagamy naukowego autorytetu i ścisłości historjografa.

Dydaktyczne walory książki Wołoszynowskiego są niewątpliwe i bardzo duże, że podkreślimy na pierwszem miejscu niemal namacalny, unaoczniony pragmatyzm historyczny. Cel swój, przedstawienia czytelnikowi dziejów Polski w łańcuchu przyczyn i skutków, osiąga autor tem łatwiej, że historję polityczną narodu organicznie wiąże z historją kultury. Czyni to zapomocą lekkich pociągnięć pióra, króciutkich apostrof nie przeładowujących treści i trafiających w sedno.

Owe wzmianki z dziejów kultury polskiej i ogólnoludzkiej naogół bez zawodu wiodą czytelnika do zamierzonego wniosku i stwarzają potrzebną atmosferę wczucia się w intencje autora. Zaczynamy wierzyć, że „było tak", a nie inaczej, gdyż autor z rzadką umiejętnością potrafi zasugestjonować czytelnika pewnością tego, który widział, staje się niemal naocznym świadkiem złożonych do lamusa historji faktów, zmienia w żywą pulsującą bajkę, w krew i kość polskiego życia. Skutkiem napięcia zainteresowania staje się obojętnem, czy było tak wogóle, wczoraj, czy może przed wiekami.

„Wiatr wtedy świstał — poświstał, a ten drewniany bóg, co stoi na górze, na słupku, na rozstajnych drogach i ma cztery twarze, i patrzy na cztery strony świata i widzi wszystko, zmienił się w błyskawicę i zaturkotał kołami wozu, i odjechał."

„Potem zaczął padać śnieg, a ja myślę, jak z tego lasu trafię do domu, kiedy zadymka i nie mam już siły ciągnąć za tylne nogi tego czarnego niedźwiedzia, któremu długo kręciłem w kiszkach wbity oszczep, zanim wkońcu zdechł. I wracam na próg, ubrawszy się w kożuch tego niedźwiedzia, jak chodzę teraz w zimie, i widzę, że dusze pojadły ostatki jedzenia w garnkach, a mnie się zachciało jeść".

Zacytowaliśmy niemal cały „sen słowianina" i oto z króciutkiego fragmentu wychyla się ku nam przedwieczna przeszłość z plastyką trudów bytowania i wierzeń ciemnych naszych praojców.

Niemniej piękny i wymowny jest rapsod „czarna ziemia ma w sobie ukryte moce", albo djalog Chrobrego z Ottonem, postać Wielkiego Kazimierza, Zygmunta Augusta, Batory, Zamoyski, ukazanie się na scenie dziejów Pierwszego Marszałka. Wychylają się ku nam z tych obrazów, jak żywe sylwety i dzieje minione, których narastanie bilansuje się w syntezie dzisiejszej Polski.

Zdania krótkie, jędrne i w treść bogate, to właściwość stylu Wołoszynowskiego.

Ale są wyjątki, gdy kompozycja nie stoi na wysokości stylu, gdy wiązadła zjawisk i faktów są raczej formalne, gdy spójnik lub zaimek ma zadanie ponad siły — scementowania zdań nieposiadających więzi logicznej i treściowej. Dla ratowania przyjętej zasady synchronistycznej autor wpina owe mechaniczne klamry w tkaninę pięknej gawędy niekiedy bez żenady i umiaru, ku utrapieniu wdzięcznego zresztą czytelnika.

Są to jednak, jak zaznaczyliśmy, wyjątki. Naogół autor przesuwa przed nami trafnie chwycone migawki, będące szlachetnym stopem dziejów kultury z panującym regimem i wypadkami politycznemi. Nawet postać Iwana Machwo z Wołoszy, promieniejąca blaskiem w orszaku przybywającego do Polski Stefana Batorego, jest na swojem miejscu, ba, wszak to protoplasta samego autora!

Książka Wołoszynowskiego — to dzieło sztuki, nie studjum historyczne z wyraźnie narysowaną ramą tematową.

Pewne niedociągnięcia formy i treści nie mogą zmienić faktu, że w ogólnym rachunku blasków i cieni tej książki blaski przeważają stanowczo.

— wt —

Z NOTATNIKA PRZESZŁOŚCI

Na marginesie przygotowań do Powstania Wlkp.

Nawiązując do niezbyt jeszcze dawnych uroczystości, jakich świadkiem była stolica Wielkopolski i do artykułu p. Al. K. „Powstanie Wielkopolskie" zam. w „Gazecie Polskiej" chciałbym przytoczyć kilka szczegółów potwierdzających słuszność zapatrywań autora o istnieniu dwu poglądów na sposób wyzyskania klęski państw centralnych.

Oficjalne sfery Wielkopolski, t. j. Naczelna Rada Ludowa, reprezentowały pogląd, iż należy tylko zachować spokój i czekać, gdyż celem osłabienia Niemiec da nam koalicja wszystko, czego tylko żądamy. W przeciwstawieniu do tego, obóz młodej inteligencji — t. j. Młoda Polska — był zdania, że należy co prędzej stwarzać fakty dokonane. To też, gdy już w pierwszych dniach rewolucji uwidoczniły się różnice i spory między organizacjami wojskowemi t. j. P. O. W., Sokołem i Radą Żołnierską, gdy z drugiej strony skrzętnie kolportowano niesłychane wprost brednie i plotki o osobie Piłsudskiego, wyjechał niżej podpisany dnia 16.X. 1918 r. do Warszawy z poleceniem dotarcia do Piłsudskiego, lub jego najbliższego otoczenia, dla przedstawienia panującego w Poznaniu stanu rzeczy i do spowodowania:

1° przyjazdu do Poznania oficera sztabu, któryby zajął się sformowaniem oddziałów wojskowych i skoordynowaniem rozstrzelonych wysiłków.

2° przyjazdu ś. p. Kazimierza Wyszyńskiego, celem redagowania pisma, któreby przeciwdziałało rozsiewanym przez Nar. Dem. plotkom o Piłsudskim i było wyrazem naszego poglądu.

Obok tego miałem poinformować Warszawę o tem, że „Młoda Polska" stoi w przeciwieństwie do Naczelnej Rady Ludowej na stanowisku stwarzania faktów dokonanych i jest przekonana, iż w danym momencie pójdzie za nią całe społeczeństwo.

Do Warszawy przybyłem 17-go listopada i brałem udział w manifestacyjnym pochodzie w dniu 18-go. Dwa lub trzy dni później zostałem przyjęty wraz z obecnym radcą poselstwa przy Watykanie, Janikowskim przez gen. Sosnkowskiego na ul. Mokotowskiej. Po przedstawieniu przezemnie sprawy podziękował mi za udzielone informacje i oświadczył, iż podziela w zupełności taki punkt widzenia. Referowanie tej sprawy Komendantowi nie jest potrzebne. Załatwi to sam. Po tych słowach wydarł z notesu dwie kartki i ołówkiem wypisał na nich rozkaz udania się do Poznania dla Stachiewicza i Wyszyńskiego.

Załatwiwszy więc misję swą pomyślnie, wyjechałem do Poznania. Gdy jednak w przeciągu tygodnia żaden z wymienionych do Poznania nie przybył, wyjechali automobilem do Warszawy p. Mieczysław Herlinger i Paweł Szylter, aby przyśpieszyć ich przybycie. W drodze powrotnej, pod Kaliszem, na śliskiej drodze, auto wywróciło się. Dr. Herlinger poniósł śmierć na miejscu, Wyszyński i Szylter odnieśli kontuzje. W kilka dni po Wyszyńskim przybył do Poznania Stachiewicz. Z działalności jego i udziału w przygotowaniu wybuchu powstania wielkopolskiego znajdą się prawdopodobnie raporty w dziale historycznym Min. Spraw Wojsk.

Wynikiem pracy ś. p. Kazimierza Wyszyńskiego było wydanie 1 stycznia 1919 r. w Poznaniu tygodnika „Sprawa Polska", który początkowo redagował sam, później z p. Tadeuszem Świackim i Dr. Kamińskim.

Dr. Ignacy Nowak.

Chorzów, 5. II. 36 r.

ADRES REDAKCJI i ADMINISTRACJI: Warszawa, Czackiego 11 m. 1, tel. 633-55 ● CENA PRENUMERATY: 10 zł. rocznie, 3 zł. kwartalnie, 1 zł. miesięcznie
Cena egzemplarza pojedyńczego 30 groszy

Wydawca: Tow. Wydawnicze „Kuźnia" Sp. z ogr. odp. Sekretarz Redakcji i Redaktor odpowiedzialny: Adam Andrzejewski

Sp. Akc. Zakł. Graf. „Drukarnia Polska", Warszawa, Szpitalna 12, w dzierżawie Spółki Wydawniczej Czasopism, Sp. z o. o. Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem.